



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. 5 marek.

KATARZYNA LEWOCKA.

Bardzo sędziwa, bo przeszło dziewięćdziesiąt lat licząca, wielkiem uznaniem, wielkim szacunkiem ogółu ciesząca się kobieta, Katarzyna z Lipińskich Lewocka, umarła d. 23 Lutego, zostawiając po sobie między ludźmi wspomnienie nie-malej wśród społeczeństwa swego zasługi, jakkolwiek nie była ona obdarowaną żadnym talentem wyższym i żaden czyn szczególnego znaczenia nie rzucił blasków swoich na jej życie. Sztuka pędzenia tego życia szlachetnie, pojmowania go jako obowiązku w zakresie działania szerszym, niż koło domowych i rodzinnych tylko powinności kobiety, czyniło z niej osobistość, która zyskała sobie w stopniu wyższym sympatyą i szacunek ludzki, towarzyszący jej od młodości aż do grobu. Znaczna część kobiet dzisiejszych stawia samodzielność, niezawisłość swoją, jako rzecz, które wywalczyć i zdobywać dopiero potrzeba na społeczeństwie i wprowadzać w obyczaje; przecież przykład zmarłej wskazuje, że wszelka istota ludzka z dobrze określoną w umyśle samowiedzą życia, z silnem uczuciem powinności i potrzeb swoich, z silnem czegoś ukochaniem, z silnym do czegoś wstrętem,—samodzielność tę posiadała zawsze i zdobywała sobie niezależność ducha taką, aby godność jej ludzka nie została zatraconą.

Nieboszczka urodziła się 1799 r. we wsi Zelwy, w okolicach Grodna, wyszła za mąż w Warszawie w 1824 r. za Onufrego Lewockiego, generalnego wizytatora szkół w Królestwie; przecież życie jej ducha i uczuć serdecznych tak zachowało odrębność swoją, że społecznie była ona

osobistością żyjącą na własny rachunek moralny—z własnym, na jej majątek duchowy wyłącznie idącym zarobkiem czci i miłości ludzkiej: z własnem stanowiskiem wśród świata.—Z życia mojego historya dla Boga... woła poeta i tu niech tak dla niej zostanie. Do Warszawy przybyła w 1820 r. młodą panną; przebywając w domu stryja, Józefa Lipińskiego, człowieka wielkiej zacności i wyższego umysłu, mogła nietylko rozwinąć się i kształcić wyżej pod osobistym jego wpływem, ale i towarzystwo, które otoczyło ją w jego domu, pomogło jej zwrócić się myślą ku celom życia górnym, a sercu uderzyć szlachetnie. Stryj jej był literatem, poetą. Tłómaczył Delila, pisywał sielanki, a dom jego otwartym był dla ludzi pióra, dla ludzi nauki; bywali w nim niemal wszyscy członkowie *Warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk*: Staszyc, Niemcewicz, Bandke, Linde, minister hr. Mostowski, minister hr. Stanisław Potocki i cały długi szereg wszystkich ówczesnych znakomitości na polu piśmiennictwa, nauki i zasług obywatelskich. Pismo nasze podało w 1875 r. skrośloną przez Wielisławę (Skrodzki) historyą: „Wieczorów Piątkowych“—to jest historyą tygodniowych zebrań we własnym już domu tej pani, na których on, młodzieniec naówczas, wszystkie te znakomitości chwili ówczesnej poznał—z którymi ona przecież zetknęła się najpierw w domu stryja. Była mu ona panią i gospodynią, wyrabiając się sercem i umysłem pod wpływem najszlachetniej oświecającym umysłów wyższych—pod wpływem najbardziej podnoszącym tej epoki, mogącej się nazywać w naukach i literaturze naszej po scholastyce szkół jezuickich *renesansem*—epoki, której ciągiem dalszym, bo następstwem bezpośredniem, była wielka w piśmiennictwie naszym chwila, wydająca Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego—wielkich poetów, dających literaturze blask czasów Kochanowskiego i pozwalającej stanąć nam na literackie forum świata z zasobem bogatym.

Rozkwit to był duchowy: ona brała w pierś z żywym interesem technienie swego czasu i do rzędu jej bliższych przyjaciół należeli: Kazimierz Brodziński, Stefan Witwicki, Łukasz Golembiowski, etnograf i historyk. Wieczory piątkowe nabrały przecież znaczenia i rozgłosu większego głównie od 1833 r. Skupiała się tu ówczesna inteligencja Warszawy, literaci, do których rzędu zaliczała się teraz i ona. Pierwszą jej pracą na tem polu był przekład powieści Wiktora Hugo „Bug-Jargal“, przecież oryginalnie pisała tylko dla ludu i dla dzieci, a tu wiodło ją uczucie pożytku społecznego. Jest tych jej utworów to-mików kilka: „Kacper Owczarek, dramat oryginalny z prawdziwego zdarzenia“, „Powiastki dla dzieci z prawdziwych wydarzeń z obrazkami“, „Bal w Resursie i Dworek na Topielu“, „Powieści starego sługi“, „Krótki rys życia S-tej Jadwigi“, „Głos ubogiej matki do córki idącej na służbę“, „Jeszcze jedna powiastka“—wszystko bardzo uczciwie pomyślane, wszystko ogrzane wielkiem ciepłem serca, a głównie wszystko przedsiębrane pod uczuciem potrzeby swego społeczeństwa i przede wszystkim jego pożytek na celu mające. Pisywała oprócz tego do „Przyjaciela ludu“, do „Rozrywek dla młodzieży“, później w „Oczytelnicy niedzielnej“ a patrzeć trzeba na to jej tworzenie, nie z punktu krytyki literackiej, ale z punktu uczucia obywatelskiego, które ją ożywiało—z punktu uczciwej chęci służyć dobru ogólnemu. Pochodziła z pokolenia ludzi wskroś tem uczuciem przejętych i pozostała wierną tej tradycji czasu swego i otoczenia.

Dzieci miała dwoje: syna i córkę. Syn jej gospodarował na wsi, w Krakowskim, przejęty uczuciami, które wszczepiła mu matka: miłości ubogiego, miłości ludu—córka, Helena, zameżna Łepicka, także na wsi mieszkała; ale nie zrywały się mimo to węzły łączące dzieci z matką, jak jest zwykle, jak być musi w rodzinach dobrych. To też starość sędziwej pani nie była samotną.

Po śmierci męża zamieszkała przy niej synowa, potem córka, także owdowiała i ci, którzy tu bliżej znali stosunki rodzinne, mówili ze wzruszeniem o tkliwej staranności, jaką miłość dzieci otaczała do końca staruszkę, tak już niemocną, tak bezsilną, że o własnej sile kroku postąpić nie mogąc.

Córka zwłaszcza oddała się całkowicie miłostnej pieczy nad matką sędziwą, w której przecież duch był mocniejszym od ciała—której nie odstąpiła pamięć i umysł nie zasłabł, nie zdzieciniał. Nie nie zapominała, nie zobojętniała dla niczego, co było jej drogiem w przeszłości, i ztąd rozmowa jej była zawsze zwróconą na przedmioty ogólnego interesu, była rozmową zajmującą szczególnie, gdy zwrócona myślą poza siebie wydostawała ze skarbcza pamięci obrazy ludzi i rzeczy ubiegłych w przeszłość. A starość jej była pogodna i żywym zajęciem z teraźniejszością złączona; kochała jeszcze wiele rzeczy na tym świecie ziemskim, z którego miała odejść wkrótce—kochała, wierzyła, nicią gorącego współczucia wiązała się z ludźmi, którym była życzliwą; pisywała do córki przyjaciela niegdyś swego, Brodzińskiego, p. Ruczowej; pisywała do p. Seweryny Duchńskiej, a listy odbierane od nich cieszyły ją zawsze. Po dobrem, szlachetnym życiu, Bóg jej dał dobrą, spokojną, niezgorzkniałą starość i tą ziemią, którą kochała tkliwą miłością dobrej córki, niech jej lekka będzie.

M. I.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GA W A L E W I C Z A

(Dalszy ciąg).

— Co pan powiadasz?.. Jański odmówił wypłaty?..

— To jest nie odmówił, ale zwłóczy, kręci po prostu, z dnia na dzień, z godziny na godzinę odkłada.

— Ach, tak!.. to co innego; może jest w chwilowej stagnacji, ale zapłacić zapłaci, — mówił z uspokojeniem szef — możemy być pewni. To przecież solidna firma, co?.. znasz ją pan?..

Pęczyński głową pokręcił, usta wydał i zrobił minę dwuznaczną.

— Tak, to była solidna firma — rzekł wymijająco.

— Była?.. ale i jest?..

— No, zaczynają różnie już mówić o młodym; zaangażował się podobno zanadto w te przedsiębiorstwa kolejowe...

— Ach, wiem, — przerwał Karol — przecież mieliśmy od niego niemało obstalunków i dotąd płacił zawsze.

— Tak, dotąd... ale czy i dalej tak będzie, Bóg raczy wiedzieć!..

— To nie Bóg powinien wiedzieć o tem, ale my, panie Pęczyński, choćby przed panem Bogiem wcześniej, — ofuknął go szef tonem niezadowolenia.

— Ja też zdaję sprawę z tego, com dzisiaj słyszał na mieście.

— Czy mówią już co? — podchwycił żywo młody szef.

— Wyrażnie nie jeszcze, ale już dają do poznania, że się chwieje.

— Głupstwo!.. taka fortuna! — przetrzyma jeszcze dziesięciu innych, zobaczysz pan.

Znać jednak było, że go te pogłoski żywiej obeszły.

— O kim nie mówią, że zachwiany w tych czasach! — rzekł jakby na usprawiedliwienie jednego z najlepszych klientów fabryki.

— No, są Bogu dzięki tacy; na przykład, my — odparł z bladym uśmiechem na ustach inkassent.

— Ba!.. takżeś pan wybrał!.. — z pewną dumą i pewnością siebie zawołał młody reprezentant starej firmy.

— Czy pan dyrektor każe odesłać panu mecenasowi rachunki do ściągnięcia?

Karol żywo zaprzeczył.

— O nie, nie; to zawczasie. Zostaw mi je pan, ja się z Jańskim dziś jeszcze zobaczę osobiście i wyjaśnię tę sprawę. Nie chciałbym mu robić kłopotu przed czasem.

Odebrał papiery z rąk Pęczyńskiego i w memoryale zapisał sobie jego nazwisko.

— A cóż to za prośba pańska? — spytał po chwili, siadając przy biurku roztargniony, pod wrażeniem dwóch sprzecznych rodzajów wrażeń, jakich mu dostarczył różowy bilecik i pogłoska o zachwianiu się młodego Jańskiego, z którym niegdyś łączyły go bliższe stosunki na ławie szkolnej, odnowione później w sferach przemysłowych.

Pęczyński podszedł parę kroków bliżej i zgłuszonym nieco, ale już spokojnym i stanowczym głosem rzekł:

— Oto chciałem korzystać z uprzejmości pana dyrektora i prosić o inną jaką posadę. Czas mi wypocząć na stare lata. Po namyśle gotów jestem przenieść się z fabryki do cukrowni.

Karol rzucił na niego bystre spojrzenie, jak gdyby odgadł właściwe powody tego postanowienia; przyciął usta, zmrużył oczy i tak przez kilka minut siedział milczący, rozważając coś w myślach.

— Uważasz pan, że to będzie korzystniej i lepiej, jeżeli ztąd wyjedziesz? — spytał po chwili.

— O, daleko lepiej! — brzmiała odpowiedź, z której tonu domyślny pan dyrektor mógł był wiele o stanie rzeczy wywnioskować.

— Tak?... — zagadnął znowu Pęczyńskiego po krótkim przestanku—to dobrze. Nie chciałbym wszelako, abys pan dla mnie robił jakiekolwiek poświęcenie, a zwłaszcza tracił na tem materyalnie. Zdarza się tak szczęśliwie, że, kupując Buraków, będę musiał zmienić część dawnego personelu. Mogę panu ofiarować tam posadę kasyera, zgadzasz się pan?..

— Panie dyrektorze, jakżebym śmiał odmówić!..

Sklonił się na podziękowanie.

— A zatem wszystko załatwione; to wyborcie! — odezwał się młody szef, nie poruszając dyskretnie ani jednym słówkiem sprawy Krzysia i stosunków z panną Franciszką.—Będzie wam na wsi, jak u Pana Boga za piecem. Kiedyż pan możecie wyjechać?..

— Im wcześniej, tem lepiej, — odparł stary z wymownym westchnieniem.

Karol dorozumiał się, dlaczego mu tak śpiesznie było; stosunek brata grożący megalansem należało siłą, bez straty czasu rozzerwać.

— W takim razie, napiszę natychmiast, abys pan mógł posadę swoją objąć z początkiem przyszłego miesiąca—rzekł sucho, ale stanowczo.—Dziękuję panu, panie Pęczyński, za to rozumne postanowienie — dodał nieco ciszej — przysięgę po pana, gdy będzie czas do wyjazdu.

— Na rozkazy pana dyrektora.

Na tem skończyła się rozmowa w kwestyi, która, jak wbita drzazga, drażniła nerwy przyszłego szwagra pana barona Turnaua.

IV.

Poza domem.

„Dziwaczna, kapryśna, szalona, ale nigdy nie nudna istota“, używająca na papierze listowym swpilk, jako emblematu, musiała dobrze znać swego najnowszego wielbiciela, który jej budoar zasypywał w zimie kwiatami; wiedziała, że z całego listu najbardziej zajmie go wspomnienie

o niespodziance i ów umyślnie przekreślony wiersz ostatni.

Znali się odniedawna; zaczęła go sama na trzeciej maskaradzie, chodziła z nim po sali przeszło godzinę, nie usiłując od początku prawie intrygować go pod maską, przyznała mu się kim jest i powiedziała mu wprost, że oddawna pragnęła go poznać.

Dużo o nim słyszała; co, kiedy, od kogo—to mniejsza. Widywała go ze sceny często w łożu z żoną i siostrą, podobał się jej z tej spokojnej, zimnej, nieodgadnionej twarzy.

Przyszła nawet na maskaradę z nadzieją spotkania go.

Mówiła mu to wszystko otwarcie, sama, nie pytana, uwieszona u jego ramienia, z główką przechyloną w białej peruce, nakrytej koronkowym turbanem, spiętym kilkoma półksiężycami z fałszywych brylantów.

W otworach atlasowej maski, zakrywającej bardzo niedyskretnie zaledwie połowę twarzy, świeciły jej ciemne oczy, jak dwa ogniki i oblewały go gorącymi spojrzeniami, które go dziwnie mieszały.

Nie widział nigdy takich oczu u kobiet, z którymi dotychczas rozmawiał.

Odurzały go formalnie.

Pierwszy raz los zetknął go z artystką, z kobietą co wieczór podziwianą przez tłumy, otoczoną urokiem sceny, sztuki, talentu. Znał ją z desek, słyszał o niej, o jej excentrycznych wybrykach, oryginalnem traktowaniu mężczyzn, zagadkowej naturze; zajmowały się nią kobiety, zajmowali mężczyźni, nazywano ją niepospolitem zjawiskiem, o wiele ciekawszem poza sceną, niż na scenie.

Była gwiazdą operetki, od niedawna przerzuciwszy się do niej z komedii, w której znudziły ją role konwersacyjne i repertoar za mało dający pola do popisu jej wdzięku. Pragnęła olśniewać, nie tylko swoim talentem, ale i tem wszystkim, co od natury miała na pokaz, dla zewnętrznego efektu; obiegały o niej pogłoski, że debiutować będzie w pantominie i przygotowuje się do roli mimicznej.

Przy ciemnych oczach i ciemnych brwiach miała włosy rudawe, z miedzianym połyskiem; powiadano, iż dała je sobie zagranicą, ufarbować dla dziwactwa, aby wyróżniać się niemi na scenie. Byli tacy, którzy twierdzili głośno, że znali ją jako brunetkę, gdy rozpoczynała swój zawód teatralny.

W sferach zakulisowych nazywano ją Salambo, ponieważ miała kiedyś pozować jakimś malarzowi do takiego obrazu i od tego czasu podobno trzymała u siebie wielką obłaskawionego, którym straszyla swoich wielbicieli.

Czego o niej-bo nie mówiono!..

Na afiszu nazywała się panną Wernik-Suczowską, a matka—miała matkę przy sobie,—wołała na nią: Wila.

Po pierwszej rozmowie, jaką prowadzili z sobą na maskaradzie, Karol gotów był uwierzyć w największe dziwy, zasłyszane dotąd tylko o Suczowskiej. Po raz pierwszy w życiu zetknął się z czemś tak nowem, nieznanem, odmiennem, uderzającym swoją oryginalnością, począwszy od koloru włosów, aż do sposobu wyrażania się, od gibkości ruchów raczej węży, niż kobiety, aż do wybuchów jakiejs naby demonicznej natury, tajemniczej, krańcowej, pełnej niespodzianek i sprzeczności.

Na Karolu ta nowa znajomość sprawiała wrażenie haszyszu. Nic podobnego nie widział na własne oczy. Po każdej bytności u Suczowskiej wracał jakby nieprzytomny, upojony i nie zdając sobie sprawy z własnego stanu, czuł, że w tym zimnym, spokojnym, jego umyśle wirowało coś chwilami, huczało, jak rozpędowe koła fabryki, zagłuszało inne myśli, niby stukot żelaznych młotów i nie dawało mu spokoju ani w dzień, ani w noc.

Dziwnie bezbarwnym wydawał mu się zaczął świat jego dotychczasowy, mdłym i nudnym przez mimowolne porównania, które mu się na każdym kroku nasuwały...

Ostygał wprawdzie w codziennym trybie zajęć i stosunków, jak żelazo rozgrzane i wyrzu-

cone na ziemię, ale każde nowe widzenie się z Wilą pozbywało go zdobytej równowagi.

Miał względem niej jakąś bojaźliwą ciekawość, która objawiała się w jego oczach, gdy, milcząc najczęściej, spoglądał na nią podczas popołudniowych wizyt o stałe oznaczonej godzinie w tym czerwonym, dusznym od pachnideł, przyćmionym zawsze firankami i storami budoarze, w którym go przyjmowała samnasam, ukryta niby jakieś tajemnicze bóstwo.

Nie umiał z nią rozmawiać jej językiem, trudno mu było podążyć za temi szalonymi niekiedy skokami jej myśli, które go męczyły, ale i w podziw wprawiały.

Milczał i patrzył, siedząc z kapeluszem w ręku, gotowy w każdej chwili do wyjścia, gdy skapryszonę gospodyni ni ztąd, ni zowąd przychodziła ochota pozbycia się go słowami:

— No, idź pan już; chcę zostać samą.

Upowiedziała go z góry o tym rygorze, który obowiązywał wszystkich jej gości.

— Mam już dość tej rozmowy — mawiała nieraz nagle znudzonym tonem, — podnosząc ponad głowę splecione ręce — o, jak mnie głowa boli... podaj mi pan flakonik z kolońską wodą, natrę sobie skronie... Patrz pan, jakie mam zimne ręce, prawda?... to nerwy, moje biedne nerwy!... Siadź pan w tamtym kącie i nie odzywaj się do mnie.

Bywał posłusznym, jak żak, chodząc na palcach po budoarze, wysłanym tanim kobiercem na łokcie i skulony wciskał się w kąty wygniecionej nieco kozetki, nad którą zwieszały się zakurzone i spłowiałe liście palm i dracenów, zrobionych z płótna przez teatralnego dekoratora.

Całe urządzenie miało tutaj charakter teatralnej dekoracji i scenicznych efektów, sztuczne kwiaty, sztuczne oświetlenie, sztuczna atmosfera, wszystko wskazywało budoar aktorki, przywykłej do sztucznego otoczenia i pozorów, zastępujących rzeczywistość.

Na stolikach, na fortepianie, na konsolach stały w złotych koszach przywiedle kwiaty, bukiety w kosztownych wazonach z majoliki, wisiały wieńce z kolorowymi wstęgami, bombonierki z resztkami niedojedzonych cukierków i czekoladek, książki bogato oprawne i albumy, nadniszczone przy częstym oglądaniu, pełne fotografii artystów i artystek, a zwłaszcza samej gospodyni w najrozmaitszych pozach i kostiumach.

Wśród tego bezładu sprzętów, wśród tej jaskrawości barw, rzucających się w oko i mieszaniny taniej tandety z przedmiotami kosztownego zbytku, wznosił się na marmurowym postumencie posązek „Czystości“, skopiowany z jakiejś średniowiecznej rzeźby, uwieńczonej sztucznymi liljami i osłonięty jaskrawą draperią.

— To mój ołtarzyk, moja kapliczka domowa, — mawiała Wila, wyciągając najczęściej obnażone swe, z fałdzistych rękawów rozpowite ramiona ku białej bogini, zasłaniającej sobie piersi skrzyżowanymi rękoma i pochylającej skromnie głowę z wyrazem zawstydzonej Zuzanny w kąpiele.

W tym budoarze, z kilkoma lampami, których blask wszelako tłumili duże, czerwonego koloru abażury z marszczoną bibułką, w fantastycznym oświetleniu piekielnej jakiejś groty, Wila przebrana w arabski, bogaty kostium ze wschodnich materii oczekiwała swojego gościa.

Na złożonym trójnogu, zdradzającym zbyt widocznie swe pochodzenie z teatralnej rekwizytorni, stała maszynka do kawy, kilka czarek porcelanowych, liściami przybrany koszyk z owocami i kryształowy flakon z „Chartreuse“.

Przed trójnogiem, w czarnej atlasowej sukni z bufiastymi rękawami, udrapowana w szeroką, szkocką mantylę, siedziała kobieta już niemłoda, szczupła, o rysach nacechowanych śladami dawnej piękności, zatartej wiekiem, o włosach dość nieładnie upiętych i pudrem przysypanych, jakby dla zamaskowania ich siwizny, o delikatnych, kształtnych, ale chudych rękach, które z koronkowych mankietów wystawały, jak dwie przywiedle lilie na wysuszonych badylach.

Rozmarzonym, na pół sennym wzrokiem lunatyczki wpatrywała się w migotliwy płomyk spirytusowej lampki pod maszynką do kawy i z nogą

złożoną na nogę, siedziała w fotelu, kołysząc się zlekka machinalnie połową korpusu.

Z pod wystąpionego rąbka atlasowej sukni, która ongi niechybnie musiała być scenicznym kostiumem, wystawała mała, zgrabna noga w buciku połatanym.

Wila z wachlarzem marabutowym w ręku, przechadzała się po budoarze i przyglądała w dużym zwierciadle stojącym, studiując każdy swój ruch i pozę z zajęciem rozlubowanej w sobie aktorki.

— Słownie mi w tym kostiumie! — mówiła do zadumanej towarzyszki — prawda?... popatrz-no pani, jak się dobrze fałduje ta fularowa koszula.

— Uhm! — brzmiała odpowiedź potakująca.

Wila niechętnie spojrzenie rzuciła w stronę trójnoga.

— Cóż z pani dzisiaj taki mruk? — słowa trudno wydobyć. To tak zawsze; kiedy ja mam dobry humor, pani przybierasz swoją pogrzebową minę. Cóż się znowu stało?...

Ironiczny, zgłuszony śmiech odezwał się z fotelu.

— Cóż się stać miało!.. jakgdyby mnie jeszcze coś obejść mogło w życiu!.. dajże pokój. Czekam, aż się ta kawa ugotuje dla twego fabrykanta i pilnie tu ogniska, jak Norma u trójnoga.

— Ale kostium słiczny, prawda?

— Cała jesteś słiczna, jak zawsze, i młoda — to grunt. Szkoda tego dla lada kogo. Za dużo parady dla takiego Fatta. Co on się zna na tem!.. Żeby to jeszcze jaki książę, ale fabrykant!..

Wila wzruszyła ramionami i wybuchnęła śmiechem.

— Książę!.. za pani czasów dużo było książąt?... to w bajkach tylko jeszcze słyhać o zakochanych książętach. Zresztą, fabrykant czy ktokolwiek, wszystko mi jedno. Ja się bawię jednak; znudzi mnie, to go za drzwi wyproszę. Ach, życie takie szare!.. takie głupie!.. takie nudne!..

— Albo ty wiesz, czego ci się zachciewa!

— Owszem; chciałabym mieć milion, cały milion, wtedy zobaczylibyście!..

Stała w pozie tryumfującej bogini i rękę podniosła w górę nietyle dla nadania swym słowom większej wagi, ile dla obejrzenia w lustrze pięknych linii, jakimi na ciemnym tle obicia zarysowały się kontury jej smukłej postaci.

— Zabrałabym panią z sobą i pojechałybyśmy obie w świat, do Indyi, na Wschód, jeździć na słonach i polować na krokodyla.

— Dajże pokój!.. dużo by nam z tego przyszło. Ja wołałabym Paryż albo Włochy... i ty także. Rozmyślałabyś się w ostatniej chwili, jak cię Kocham. Tyś nie była jeszcze w Paryżu? a ja byłam kilka razy, i to za najlepszych czasów, byłam młodą, byłam piękną, byłam sławną. Mało brakowało, a byłabym tam śpiewała w Operze!..

Urwała i westchnęła z affektacją.

— I czemuż pani nie śpiewałaś?..

— Ot, głupia byłam; zachciało mi się zostać panią Halkiewiczową, mieć męża i zakosztować szczęścia małżeńskiego. Długo to trwało!.. nie całe pół roku.

— Ha, trzeba było siedzieć na wsi, kury karmić, krów doglądać, masło robić i być obywatelką — wtrąciła szydlerczo Wila. — Byłabyś pani miała dzisiaj ze siedmiorga dzieci z takimi pyzami — o!.. zdrowych, tłustych, czerwonych, byłabyś sobie dziedziczką i zamiast chodzić ze mną za kulisy do garderoby, miałabyś własną lożę na każdym przedstawieniu. Potrzeba pani było wracać na scenę?..

Ex-primadonna podniosła się z urażoną godnością i zarzucając koniec mantyli na ramię ruchem bohaterskim, uderzyła się w piersi prawą ręką, jakby wyrzucić miała szlachetną frazę recitativa i zawołała z patosem:

— Kochałam więcej sztukę, niż mojego męża i całą jego oborę!..

Potem upadła napowrót na fotel z nogą podwiniętą pod siebie i z lekceważeniem wzruszyła ramionami.

— Et, co wy tam dzisiaj rozumiecie z tego wszystkiego!..

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale rozmyśliła się, odwróciła głowę wyniosłe i patrzyła przed siebie z majestatem obrażonej królowej.

— Szych i blaga! — mruknęła tylko ledwie dosłyszonym głosem przez zaciśnięte usta.

Wila rzuciła się na turecką ottomanę, i wijąc się w napadzie śmiechu, klaskała w ręce, jak szalona i wołała:

— Bravo, bravo!.. bravissimo! Halkiewiczowa bravo! bis!.. bis!.. co za ogień, co za siła!.. ach, jakże ja żałuję, że nie mogłam pani już widzieć na scenie! „Kochałam więcej sztukę, niż mego męża i całą jego oborę!“ — powtarzała, naśladując z przesadnym patosem wykrzyknik starej śpiewaczki i śmiała się spazmatycznie, jak opętana, aż wyczerpana z siły, przechyliła głowę na poduszki, przymknęła oczy i z tej nienaturalnej wesołości zapadła w stan apatii.

Po policzkach jej spływała łza, wydobyta nerwowym wstrząśnieniem śmiechu.

Z oczyma zasłoniętymi ręką leżała tak nieruchomie czas jakiś, jakby wyczołowywała po tym gwałtownym wybuchu i milczała; Halkiewiczowa poruszała ustami w niemy monologu, a twarz jej mieniła się kolejno to wyrazem ponurej grozy, to wreszcie, boleści i rezygnacji, odpowiadając widocznie wewnętrznym przemianom uczuć i myśli, twarz przyzwyczajona do owych szybkich przebiegów scenicznej mimiki.

Z otomany po długiej przerwie odezwał się cichy, jakby złamany głos Suczkowskiej:

— Halkosiu, która godzina?..

Exprimadonna, otulając się szalem, wstała, podeszła do zegarka leżącego na etażerze obok lustra i odpowiedziała ponuro:

— Dziesiąta.

— Już dziesiąta... dlaczegoż jego jeszcze nie ma?... napisałam mu, aby był po teatrze, bo myślałam, że grać dzisiaj będę. Ach, ta pańszczyzna!.. Wiesz pani, chciałabym, żeby nie przyszedł dzisiaj. Wołałabym zostać samą, albo nie!..

Zerwała się nagle z ottomany, poprawiła na sobie pognieciony kostium, poszła przyjrzeć się w zwierciadło i przeciągając zlekka puszką z pudru całą twarz, mówiła zmienionym znów i ożywionym głosem:

— Lepiej, niech przyjdą, zabawimy się.

Potem stając przed Halkiewiczową, udrapowaną, niby togą, swoją szkocką mantylą, położyła jej ręce na ramiona i ze śmiechem wesołym spytała:

— Powiedz pani, co ze mnie za dziwna istota!.. znałaś pani taką drugą waryatkę... za swoich czasów?..

— Za moich czasów waryatki bywały w szpitalach, ale nie na scenie, — odpowiedziała exprimadonna ze śmiechem, w którym znać było resztkę gorczy i urazy.

W tej chwili dał się słyszeć dzwonek u drzwi wchodowych, a wkrótce potem przez portyere wsunęła się głowa starej Suczkowskiej, która z wyrazem wielkiego przyjęcia udzieliła pośpiesznym szeptem córce wiadomość:

— Wila, pan Fatt przyszedł!..

Córka spojrzała na nią okiem karcącym, jakby ją uraziła ta wrażliwość matki na widok gościa meldowanego z takim naciskiem i odpowiedziała:

— No, to i cóż?!

Wystraszone, siwe, okrągłe oczy starej zrobiły się jeszcze okrągłymi.

— No, nie, — odparła półgłosem — tylko jak trzeba będzie smażyć już kotlety do kolacji — to mi daj znać do kuchni!..

— Dobrze... dobrze!..

Głowa cofnęła się szybko za portyere, a przecięwłymi drzwiami z przedpokoju wszedł Karol, niosąc ogromne pudło cukrów pod pachą.

Cały budoar, tonący w gorącym czerwonym blasku światła, widok Wili w niezwykłym stroju, ciepła, przesycona wonnościami atmosfera podziały na niego w pierwszej chwili zbyt silnie; musiał się ośwoić z tem wrażeniem i rozejrzeć.

— To pan, panie Karolu? — ooccił go fletowy głosik Wili, nastrojony na najłodszy ton uprzejmości. — Któż widział dać tak długo czekać na siebie!..

— Pani wspominała mi w swoim liście, że po teatrze!..

Wyciągnęła ku niemu obie ręce.

— Prawda, ale zmieniono afisz przed wieczorem, i nie grałam.

— Ach tak!... ja właśnie dziwiłem się, nie zobaczysz pani wychodzącej z garderoby po sztuce.

Powłóczyście spojrzenie padło na niego z wdzięcznością.

— Czekaleś pan znowu pod teatrem?...

Miał minę studenta, którego pochwalono przy lekcji, i zdawał się pokornie mówić:

— Ośmieliłem się to zrobić.

Podał jej pudło z cukrami i, spostrzegłszy dopiero teraz Halkiewiczową, powitał ją ukłonem.

— Rzeczywiście — zaczął po chwili — rzeczywiście... masz pani szczególniejszy dar... ośniewania ludzi.

Wskazał kapeluszem na budoar i na kostium jej wschodni.

— To to ta niespodzianka?—dodał ciszej.

— Ach, drobnostka!—przerwała mu niby lekceważąco.—Możnaby to wziąć za kokieteryę, a to tylko poczucie efektu i wstręt do rzeczy pospolitych, opatrzonych, zwykłych. Nie cierpię szablony,—oto wszystko. No, siadał pan; zaraz tu przyjdzie mój maestro i może ktoś jeszcze. Jestem dziś wybornie usposobiona. Szkoda, że mi grać nie dali. Czuję, że byłabym przewyższyła samą siebie.

Spoglądał na nią, przypatrując się szczegółom wschodniego kostiumu, i zdawał się być pochłonięty jej widokiem.

— Czarujaco, czarujaco!—powtarzał szeptem, jakby do siebie.

Usłyszała to i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Sprawiony efekt nie chybił.

— Czy nie byłeś pan dzisiaj w teatrze?.. nigdzie?—spytała dla zawiązania dalszej rozmowy — ach, szkoda!.. musiały być pustki. Publiczność teraz mało uczęszcza i dobrze robi. Same starzyzny grają. Nowej roli trudno się doprosić!.. Odlóż że pan ten kapelusz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KTO SIĘ LUBI TEN SIĘ CZUBI.

Przysłowie dramatyczne w 1 odsłonie

NAPISAŁ

J. MOROSZ.

Osoby: **Natalia**—młoda wdowa.
Klementyna—jej siostra.
Zygmunt—krewny obydwoh.
Edward—sąsiad.

(Rzecz dzieje się na wsi, u Natalii).

Scena przedstawia gustowny salonik. W głębi szklane drzwi wychodzą na ogród. Na prawo i na lewo drzwi również.

SCENA I.

Natalia—Zygmunt.

Natalia (siedzi na kozetce i bawi się wachlarzem). To trudno: tutaj nikt ci poradzić nie może. Dziewczyzna jest uparta, skryta a dumna; trudno mieć na nią wpływ jaki, a marzyć nawet nie można, aby się dała namówić do rzeczy tak ważnej, jak małżeństwo; przytem jej się tam coś roi o swobodzie, o pracy społecznej... mówi, żeby osobiste obowiązki przeszkadzały jej w tem.

Zygmunt (wzbudzony chodzi po scenie). Śliczne zasady! niema co mówić! Ze też niema kobiety, którejby wyższa nauka nie przewróciła w głowie! I ta — skończyła ledwo uniwersytet, a już zachorowała na reformowanie ludzkości, wyrzekając się osobistego szczęścia!

Natalia (śmiejąc się). Dobrze byłoby, żebyś przy Klemuni tak się kiedy odezwał, to byłoby zabawne, doprawdy!

Zygmunt (ogłąda się przestraszony—ale, widząc, że nikogo niema, mówi śmiało). Wielka rzecz! nie zawahałbym się ani chwili!

Natalia (wesół). Jeżeli pozwolisz, to powtórzę jej twoje słowa...

Zygmunt (przerażony). A tobyś mi się przysłużyła!

Natalia. No? przecież twierdzisz, żebyś się nie zawahał...

Zygmunt (trochę zmieszany). Widzisz... to zupełnie co innego powiedzieć samemu, a co innego, gdy kto powtórzy...

Natalia (zartobliwie). Zapewne! samemu można zaraz przeprosić...

Zygmunt (urazony). Ciekawym, kiedy ja przeproszam!

Natalia. A kiedyż ty nie przeproszasz? nawet wtedy, gdy wina jest po drugiej stronie.

Zygmunt (zmieszany). Ale bo... ty tego nie rozumiesz.

Natalia. Ależ rozumiem, najdoskonalej rozumiem, że ci przedewszystkiem idzie o łaski naszej ślicznej kuzyneczki, choć poza oczami wymyślasz Bóg wie co na nią!

Zygmunt (z urazą). Najpierw nie o to mi chodzi, ale silniejszy zawsze powinien ustąpić słabszemu. Powtóre, ani w oczy, ani za oczy, nie wygaduję Bóg wie czego na Klemunię.

Natalia (z udaną pokorą). Przepraszam waszą excellencyą za wypowiedzenie prawdy — zapomniałam, że tego robić nie wolno...

Zygmunt (niecierpliwie). Kiedy to wcale prawdą nie jest! Co ja o niej mówię? że zimna jest jak posąg, szydercza często, a tak umie mrozić każdy porów uczucia, każde słowo cieplejsze na ustach, że człowiek przy niej ciągle wygląda jak zimną wodą obłany.

Natalia (wzruszając ramionami). A wiesz czemu ona jest taką dla ciebie?

Zygmunt (urazony). Alboż inną jest dla kogośkolwiek? nie potrafi! Taka-to już jej natura.

Natalia (z flegmą). Dajże spokój! Jakbyś ty miał ochotę narażać się na ciągle przycinki i rozgrzewać ów, jak nazywasz, posąg, gdybyś nie czuł, że w danej chwili rozgorzeć w nim może jakiś płomień? Akurat, ty i ja, którzyśmy warci być sobie bratem i siostrą, lgnęlibyśmy do kogoś, nie czując w nim ciepłego serca.

Zygmunt. Więc czemuż udaje, że nie i nikt w świecie zająć jej na chwilę nie może?

Natalia. Bo cię nie bierze na seryo...

Zygmunt (z gniewem). Więc jakże mnie nie brać, u diabła?

Natalia. Właśnie tak, jak bierze: za trzpiota, na którego się nigdy i w niczem nie liczy.

Zygmunt (rozgniewany). Moja Natalciu, proszę cię o lepsze rozumienie słów własnych!.. Nie liczy się na takich tylko, których się nie szanuje!..

Natalia. Czyste uprzedzenie. Nie liczy się nigdy i na nikogo — i dopiero wtedy można być pewnym siebie... Zresztą, widzisz, są dwa rodzaje liczenia na kogoś — czynny i bierny, rzecz można.

Zygmunt. Nie rozumiem tej klasyfikacji.

Natalia. Rodzaj bierny, jestto pewność, że ktoś mnie, ani nikomu, nic złego, nieuczciwego, nieszlachetnego, nigdy nie zrobi... To niczego jeszcze nie dowodzi. Rodzaj czynny — a! to zupełnie co innego! to przekonanie, że za mną i dla mnie ktoś pójdzie w ogień i w wodę, na złe i dobre, i dziś, i jutro i zawsze!

Zygmunt (z zapalem). Ależ to właśnie tak ona powinna liczyć zawsze i we wszystkim na mnie!

Natalia. — A no — przekonaj ją o tem, a z chwilą, gdy ci uwierzy, mogę ci ręczyć głową, że na chłód się skarżyć nie będziesz.

Zygmunt (z goryczą). Et! łudzi się, jak każda kobieta — i, solidarna z nią, bronisz. Ona, gorąca! jak gleczer chyba... Wiesz, czasami ochota mię bierze w jej oczach skoczyć do tego stawu, co pod jej oknami płynie... ciekawym, czy i wtedy zachowałaby swój olimpijski spokój...

Natalia (z flegmą). Przecież wie, że umiesz doskonale pływać.

Zygmunt (rozdrażniony). I na tobie znać dobrą naukę!

Natalia. Dlaczego nie? grunt podatny.

Zygmunt (z goryczą). O tem nie wątpię ani chwili... wszystkiescie jednakowe, jeśli idzie o dokuczenie któremu z nas... Z wami da sobie radę taki despota, jak Edward, który egoistycznie, bezwzględnie łamać potrafi wszystko, co stawia mu opór; ale kto ma miększą, tkliwszą, delikatniejszą naturę, z góry powinien wiedzieć, że go wyzyskają — a potem wyśmiejają jeszcze!

Natalia (oburzona). Pan Edward wcale nie jest egoistą.

Zygmunt. W takim razie, pocóż mu cochwila sama stawiasz ten zarzut?

Natalia (z gniewem). To zupełnie co innego! Ja mówię w oczy, a nie obmawiam za oczy! zresztą, co wolno mnie, to nikomu innemu!

Zygmunt. Czysto kobiece zasady! A czemuż ty masz mieć monopol?

Natalia. Bo on tylko ze mną jest egoistą, a między mnie a niego nikt nie ma prawa się mieszać!

Zygmunt. O? już aż do tego doszło?

Natalia (z wzrastającym rozdrażnieniem). Do czego znowu miało dochodzić?

Zygmunt. Do bliższych między wami stosunków.

Natalia (j. w.). Proszę cię, uważaj co mówisz!

Zygmunt. Dobryś! Teraz weź to za obrazę — to będzie śliczna logika! prawdziwie kobieca! Wprzód nie pozwala mieszać się między siebie i niego — a potem oburza się, mimo bliższej z nim zażyłości!

Natalia. Bo ja w ogóle nie znoszę, żeby ktośkolwiek mieszał się do mnie.

Zygmunt (przekornie). A jakże to będzie z Edwardem?

Natalia (wyniosłe). Ciekawam, co tu pan Edward ma do roboty?

Zygmunt (j. w.). Oj! że będzie, to będzie miał, i to niełatwą! nie chciałbym być w jego skórzel!

Natalia (rozgniewana). Nie ma obawy! żeby nas tylko dwoje było na świecie, toby jeszcze nie było z nas pary!

Zygmunt (śmiejąc się). I ja tak sędzę! Chyba nazajutrz po ślubie wydrapaliśmy sobie oczy wzajemnie.

Natalia (j. w.). Przedewszystkiem nigdy byśmy do ślubu nie doszli, bo po zaręczynach tego samego dnia jeszcze byśmy się rozstali — jakbyś tylko mógł wyobrażać sobie, że masz jakąś przewagę czy jakieś prawa do mnie...

Zygmunt. Toby przecież nie było wyobrażanie sobie, ale rzeczywistość.

Natalia. Ależ powtarzam, że byłoby to pod każdym względem niemożliwe!

Zygmunt (podrażniony). Uspokójże się, nie mam bynajmniej zamiaru zdobywać cię, nic ci nie grozi!

Natalia. W żadnym razie nie-by mi nie groziło — niebezpiecznym dla mnie być nie możesz.

Zygmunt. Nie idzie mi też o to bynajmniej.

Natalia (złośliwie). Nietylko ja, ale i inni umieją się poznać na tobie!

Zygmunt (dotknięty). Nie byłabyś kobietą, gdybyś w gniewie nie dotknęła tego, co boli najbardziej.

SCENA II.

Ciż sami—Klementyna.

Klementyna (wchodząc, z ironią). Pan Zygmunt swoim zwyczajem na kobiety napada?

Zygmunt. Pani uznaje, że mężczyzna powinien być wdzięcznym, nawet wtedy, gdy kobieta go najboleśniej dotknie?

Klementyna (lekko zmieszana). Och! takie wielkie słowo... czy tylko stosownie użyte?

Zygmunt (z ironią). Oto raczy się pani swojej kuzynki zapytać...

Natalia (zawstydzona podchodzi do Zygmunta, kładzie mu rękę na ramieniu a drugą przesuwając mu

po włosach pieszczotliwie). Zupełnie stosownie... uznaję swoją winę i przepraszam cię za nią... nie gniewaj się, a szczególnie nie miej żalu do mnie!

Zygmunt (*całując ją po rękach i przesuwając je sobie po twarzy*). Ktoby tam na ciebie mógł długo się gniewać ty człowieka rozdrażniesz do ostateczności, a potem, jak się zaczniesz przymilać jak kotka, to o wszystkim zapomni i pójdzie za tobą na koniec świata! Tak ładnie umiesz przepraszać, że aż chce się mieć powód do gniewu... Każda z was, jeśli jest naprawdę kobietą, ma tak potężną broń w ręku, że się jej oprzeć niepodobna...

Klementyna (*z ironią*). Ja sędzę, że w ogóle władczy stworzenia nie odznaczają się tytaniczną siłą?

Zygmunt (*zimno*). To zależy od tego, czy im wygodniej wygrać czy przegrać.

Klementyna (*j. w.*). Nigdy nie słyszałem, aby przegrana była wygodna. Zdawało mi się, że jeśli nie co innego, to miłość własna musi na tem bardzo cierpieć.

Zygmunt. Och! nic dziwnego: zkadźby pani o tem wiedzieć mogła! Nie zna pani mężczyzn i znać ich przecie nie może.

Klementyna (*urazona*). Chyba od pana tej nauki nie nabędę.

Zygmunt. Czemu nie? przecie tego mi pani nie odmówi, że jestem mężczyzną.

Klementyna. O! pysznym typem — wspaniałą odmianą tego gatunkul

Zygmunt. W takim razie, studynując mnie, nabywałyby pani właśnie tej wiedzy, o którą idzie.

Klementyna (*z ironią*). Ależ to tylko panu podobna się twierdzić, że mnie jej braknie — ja sędzę, że mam jej aż nadto!

Zygmunt. Czy i tego uczą na uniwersytecie?

Klementyna. Psychologii? rozumie się, a prztem, trochę i życia, które się bierze na prawdę, nie na żart...

Zygmunt. Ach! prawda, zapomniałem, że pani wiesz i umiesz wszystko!

Klementyna. Nie, nie wszystko.

Zygmunt? O? a czegoż to pani nie wiesz?

Klementyna. Tego, z jakim pan się wyrwiesz konceptem...

Zygmunt. Doprawdy! jestem więc dla pani zagadką?

Natalia (*lekceważąco*). Nie silę się na jej rozwiązanie.

Zygmunt. Naturalnie! Alboż pani dbasz o cokolwiek lub kogokolwiek w świecie!

Klementyna (*z ironią*). Logika czysto męska! Dlatego, że nie dbam o pana, a zatem o nic i o nikogo!

Zygmunt. A zatem, może pani zechce powiedzieć, o co i o kogo pani dba?

Klementyna (*na razie zmieszana — namyśla się — wreszcie niecierpliwie mówi*). A cóż ja mam za potrzebę spowiadać się panu ze swoich uczuć!

Zygmunt (*kłania się jej do ziemi*). To znów pokobiecemu zupełnie.

Klementyna (*lodowata*). Nie mam pretensji być czem innym, jak tylko sobą.

Zygmunt. Żebyż to pani była kobietą naprawdę!

Klementyna (*z ironią*). Jesteś pan niezmiernie konsekwentny!

Zygmunt. A naturalnie. Ale jeżeli pani rozumieć nie chce, to dodam, że pozostawiłaby pani sobie wszystko to z kobiecej natury, czego bez szkody niczyjej pozbyć się może...

Klementyna (*rozdrażniona*). Rzeczywiście — trochę energii, trochę krytycyzmu, trochę liczenia się ze słowami, trochę ostrożności, trochę panowania nad sobą — rzeczywiście, nie są to przymioty, które według pana mogą zdobyć kobietę.

Zygmunt. Jeżeli pani podoba się tak to nazywać...

Klementyna. Alboż noszą inną nazwę?

Zygmunt. O! jabym je nazwał inaczej.

Klementyna. Proszę? Jestem doprawdy ciekawa.

Zygmunt (*kłaniając się*). Jestem na to zanadto grzecznym.

Klementyna. To już zupełnie pomeżku.

Natalia (*przerywa czytanie gazety*). Moi drodzy — jedno i to samo Zygmunt nazwał prawdzi-

wie pokobiecemu, a Klementyna zupełnie pomeżku. Dlaczego nie powiedzieć od razu, że to po ludzku i że każdy, bez różnicy płci i wieku, w każdej niewygodnej pozycji, stara się schować za jakiś szaniec?

Zygmunt (*zaczyna się śmiać*). A może ty masz i rację.

Klementyna. Dla pana to bardzo wygodne.

Natalia. Ech! kiedy bo ty, Muniu, przekorzysz się, kiedy ja mówię zupełnie poważnie. Trzy czwarte dysput nie miałyby racji bytu, gdyby wyrzucono owe pomeżku i pokobiecemu, w to miejsce postawiono słowo: człowiek. Czyż naprawdę tak dużo wad i przymiotów jest monopolu jednej i drugiej strony? Słabość charakteru? również nieznajomość w mężczyźnie i w kobiecie; szorstkość? także, niewyrozumiałość? nie inaczej.

Klementyna. Zaraz, zaraz! nie zapędzaj się! Przecież ideałem tych panów jest kobieta słaba, niezdolna samoistnie myśleć i działać, słodka aż do mdłości, uległa do idyotyzmu, a uwielbiana ich, jak fakir, swoje bóstwo!

Zygmunt (*oburzony*). A niechże dyabli wezmą taki ideał! a toż jabym od takiej na drugi dzień po ślubie uciekł, gdzie pieprz rośnie!

Klementyna. Doprawdy! więc jakże wygląda pański ideał?

Zygmunt (*rozdrażniony*). Mój ideał jest przede wszystkim kobietą dobrej wiary, która, jeśli nawet stawia jakiś zarzut, to nie w chęci przytyku, ale z przekonania.

Natalia (*poważnie*). Proszę nie dotykać osobistości.

Klementyna (*ma ochotę się gniewać, w końcu wybucha śmiechem, Zygmunt jej wtórzy*). No — a dalej?

Zygmunt. A cóż to: czy pani myśli, że ja według recepty będę sobie żonę wybierał, czy co, u pana Boga? Nibyż to owe z góry przepisane wymogi zdadzą się na co! Chyba na to, aby przy pierwszej sposobności w łeb wzięły. Ja wymagam tylko tego, żebym się naprawdę zakochał i żeby mnie pokochano taksamo — a już potem dam sobie radę, moja w tem głowa!

Klementyna (*krzywiąc się*). Recepta... recepta... hm. nie można powiedzieć, żeby to było porównanie poetyczne...

Zygmunt (*podrażniony*). Ależ ja nigdy nie pozowałem na poetycznego!

Klementyna. Ja znów myślałem, że pan jest wcieleniem poetyczności, a nawet romantyzmu.

Zygmunt. Cóż mogło pani myśl tę poddać?

(Dalszy ciąg nastąpi).

ECHA LITERACKIE.

14. „Ze wspomnień córki o ojcu“ p. Marya Górecka opowiedziała w *Świecie* piękną legendę, zasłyszana z ust Mickiewicza. Poeta oglądał raz w jakiejś kapliczce szwajcarskiej obraz dziwnej treści: cień kobiety unosił się nad pędzącym koniem, — osiodłanym, ale bez jeźdźcy, — a przed koniem dyabeł przerażony zapadał w czeluść piekielną. Obraz upamiętniał następujący wypadek legendowy:

Przed wiekami mieszkał w okolicy, na zamku w pobliżu kaplicy, hr. Walter z cudnie piękną żoną. W sąsiedztwie zjawił się niespodziewanie jakiś tajemniczy rycerz, osiedlił się, urządził u siebie jaskinię szulerską, zwał do niej Waltera i póty go ciągłymi wygraniem czarował, póki go nie ujrzał już w tyrańskiej mocy namiętności. Od tej chwili zaczął nagle mąż pięknej żony przegrywać po kolei wszystko, co miał, aż wreszcie przegrał i ją samą. Czarny rycerz okazał się dla niego nadzwyczaj uprzejmym: za cenę takiej wygranej powrócił mu i zamek i cały majątek; piękną tylko Aldę zabrać mu postanowił. Uprzejmość swoją posunął nawet tak daleko, że dla niepoznaki zaproponował Walterowi

urządzenie pozornego porwania. Walter potrzebował tylko wywabić żonę do lasu, na niewinną niby przejażdżkę; w lesie czarny rycerz napadnie i porwie co wygrał. Nikczemny mąż, dopuściwszy się już zaprzędania, podjął się jeszcze i zdrady: namówił żonę na konną wycieczkę do lasu. Pojechali. Po drodze Alda wstąpiła do otwartego kościołka. Walter zatrzymał się przed progiem, bo sumienie go żarło, a trwoga zbrodniczą odpychała od Boga. Pomodliwszy się, piękna kobieta wsiadła na konia i małżonkowie pojechali dalej. U Pięciu Dębów w lesie wypadł z zasadzki czarny rycerz z drabami. Ci skrzepowali Waltera, on schwycił za wodze konia, na którym siedziała Alda. Ale ledwie w twarz jej spojrział — ryknął rozpaczliwie i puścił konia. Z postaci ludzkiej wynurzył się szatan; rył kopytami ziemię, miotał się, pisał, tarzał, gryzł piasek z gniewu... aż z wnętrza ziemi wybuchnęły płomienie i pochłonęły piekielnika. A towarzysza Waltera niewidzialną mocą porwana w górę, jasna i przezrocza jak widzenie anielskie, wzbijała się coraz wyżej i wyżej, a postać jej, w świetny już tylko zamieniona obłok zwolna rozplynęła się w powietrzu. Patrzył na to Walter, pod wpływem cudu w jednej chwili odrodzony. W powrocie do zamku, czując gorącą żądę modlitwy, wstąpił do kościołka. Tu uderzył go widok niespodziewany: nowy cud. Przed ołtarzem klęczała kobieta podobna zupełnie do Aldy. Podbiega, w twarz zagląda — ona. Ową Aldę, która z nim razem do lasu wjechała, nie była ona sama, ale jej anioł stróż, uproszony niegdyś przez matkę o opiekę nad odumieranym dzieckiem. I okazał się ten duch boży dobrym stróżem i opiekunem. — Poetyczna treść domaga się i poetycznej formy.

15. **Nowelle Ostoi**. Autorka zebrała, p. Paprocki wydał, p. Chmielowski zalecił ośm nowel panny Sawickiej, używającej pseudonimu „Ostoi“. Zbiór ten nosi już datę roku bieżącego i jako nowy przychodzi po echo. Dr. Piotr Chmielowski w przedmowie swojej broni zarzuconego przez długi czas zwyczaju pisania wstępów do książek jednych autorów żyjących przez drugich. Wskazanie „znamiennych cech“ talentu ma być zadaniem każdej takiej przedmowy. „Znamiennie“ potrzeba tu rozumieć jako „rdzenne“ — *znamię* bowiem i *cecha* — oddają jedną i tę samą rzecz, jedno to samo pojęcie. Na zasadę wstępów można się zgodzić, ale tylko w zakresie dzieł naukowych; w piękno- czy brzydko- twórstwie słownem wstępy są tem mniej potrzebne, że przy wskazywaniu głównych, — a więc zarówno dodatnich, jak ujemnych — znamion talentu w żaden sposób niepodobna mieć tej przynajmniej niepodległości zdania, jaką samoistna krytyka cieszyć się może. Cenimy wielce powagę krytyczną D-ra Chmielowskiego, przodującego dziś ilościowo i jakościowo całej rzeszy młodszych i starszych od siebie pracowników na niwie literatury rozumowej, ale cenimy ją poza obrębem takich wstępów, które właśnie wskutek powagi piór do nich powoływanych — nie przestaną nigdy nosić na sobie charakteru *captationis benevolentiae*.

Okazało się to i na przedmowie D-ra Chmielowskiego. Kto ją przeczyta, spodziewa się, że go wprowadzą do jakiegoś wspaniałego przybytku genialności, chociażby tylko nowellistycznej; po przeczytaniu powiastek widzi się w komnacie pięknie umeblowanej, zasobnej w ładne rzeczy, przedstawiającej się tak, że ją widocznie nie pierwsza lepsza zdadność za mieszkanie sobie obrała; ale od tego mieszkania do przybytku genialności, chociażby tylko w przedstawianiu uczuć tłumionych — spory jeszcze kawał drogi. Najzupełniej na to zgodzić się potrzeba z Dr Ch., że „mamy prawo spodziewać się coraz głębszych, coraz starszanniej obrobionych, — słowem: coraz piękniejszych utworów Ostoi“. Ziszczenia się tej nadziei pragniemy, i dla autorki, i dla piśmiennictwa, i dla powszechności naszej, czytającej głównie powiastki i powieści.

Z całego zbioru najlepsze są: *Miłość Babuni*, *Z krainy duchów*, *Z moich stron* i *Nowa łódź*. W dwóch ostatnich, przedmiotem swoim najważniejszych, głęboko odczute są zarówno stany psychiczne, jak odpowiadające im nastroje natury

zewewnętrznej, krajobrazowej, a opis kniei i zarosli, obraz powodzi na Pińszczyźnie odznaczają się wyborną plastyką. — Taki Maxym zostanie już w nowellistycie polskiej. Pod względem opracowania — wiemy, że samo jego pojęcie nowelliści uważają za ubliżające dla siebie, — najlepszą jest *Miłość Babuni*. Nieład, może genialny, ale w każdym razie nieład, panuje w opowiadaniu przegód *Złego Ducha* i *Złotej Rybki*. Ta rybka, cała charakterystyce oddana, w niej właśnie jest nader słabą. Co ma oznaczać w zakończeniu *Z krainy duchów*: „Książd w mowie pogrzebowej, mówiąc o zasługach zmarłej, zakończył wieloznaczącem: „*Ciężkie grzechy żywota przebaczyć jej, Panie!*“? — Czy wolnomyślność? Biedna, wychudła, mrąca z głodu, wolnomyślności nasza!

Scyzoryk jest utworem miernym a dziwacznym, mimowolne zaś przypomnienie balzakowskiej *La Peau de chagrin* strąca go jeszcze niżej w samowiedzy krytycznej. *Listowi* szkodzi właśnie to, co ma być głównem znamię talentu, a jest niezawodnie pewną skłonnością do manieri: ucinkowość, lubująca się w szarpaniu pomysłów.

Styl p. Sawickiej bardzo jasny, porządkowy, nie przesadnie à la Hugo lapidarny, zaleca jej utwory. Obrazowości w nim mało, ale gdy się zdarzy, to dobra (str. 273: „Opatrzność rumieniała się, słuchając tych wyliczeń“). Przedmiotowość w tworzeniu — dostrzeżona i uwydatniona przez samego D-ra Chmielowskiego — pozwala autorce zniknąć zupełnie przed czytelnikiem, ale z pozwolenia tego korzystać może tylko ona sama, i to niedoładnie, bo silny pesymistyczny nastrój, przy subiektywności swego źródła, możność tę udaremnia: zawsze człowiek wyjrzy z dzieła swego. Tak było, tak jest i tak będzie, i dobrze, że inaczej być nie może: uczuciowością tylko trzyma się sztuka. Malując rzeczywistość poznaną i do poznanej podobną, autorka nawet podnioslejszym postaciom i chwilom daje podkład z jaknajsilniejszej powszedniości, — aby tym sposobem ocalić prawdę życia, która, uzupełniając historię, świadczy np. że Cezar, gdy szedł do senatu w pamiętne Idy Marcowe, miał toż niezupełnie nową, a Katon utyceński przed zabiciem się niezawodnie zjadł śniadanie. Jest to wyższa moc, moda czy zaraza wieku. Wiadomo, z jaką szczegółowością opisuje Zola rozmaite piękne i niepiękne rzeczy w *Terre*, albo w *Nana*: tak się dochowuje wiary, rzeczywistości.

Dużo jest podobieństwa między nowellami Ostoi a p. Maryi Konopnickiej. Obie odczuwają dobrze duszę ludzką taką, jaką im wyobrażają ich, przez indywidualne pojmowanie życia i człowieka kierowana, odzwierciedlająca. Dobrze są takie odczucia i w *Złym duchu*, któremu przecież bezład kompozycyjny wielką krzywdę wyrządza. Złe, wogóle ujemność, autorka lepiej maluje niż dodatniość. Dyablica Ewka np. dziwi się z szyderstwem: „Nie chcia! Nie mogę, powiada, własnej krowy zarznąć! Głupi! ludzie rzną ludzi, a on krowy zarznąć nie mógł!“ Rzeczywistość niezawsze jest w nowellach prawdziwą. Tak np. lud nie mógł w żaden sposób uwierzyć w spalenie się wiedźmy wraz z chatą.

W wysłowieniu zdarzają się błędy. Tak np. str. 201 deszcz „*proszy*“; str. 202 (i kilka razy jeszcze w książce) ludzie myślą „z *krzywym* uśmiechem“; na str. 213 „kilkadziesiąt: *kropel*“; str. 226: „*sztła* albo *wracalu* od Skulskiego (albo to samo powiedziane, nie raz jeden, ale dwa, albo co innego, a wtedy potrzeba powiedzieć: „*sztła* do Skulskiego, albo *wracala* od niego“); str. 229 „*nad* — *nasłuchiwałem*“; str. 234 „*nieraz* trzy razy zamiast: „*niekiedy* trzy razy“; str. 241: „o mieszkaniu Skulskiego nigdy nie słyszałem, pomimo to gwałtownie pragnąłem przypomnieć sobie o *tem*“; str. 256: „*razów*“ = *razy*; str. 275: „czy nie utrudzam panią zbyt? — Trzeba to wszystko do porządku przyprowadzić.

16. „*Przewodnik dla teatrów amatorskich*“ napisał „dla użytku osób takowe (teatra) urządzających i w nich udział biorących“ p. Wincenty Rapacki, artysta dramatyczny Teatrów warszawskich (Warszawa, 1890; Paprocki i Sp. str. 139, in 12°). Dobra ta książka praktyczna narzuca się natrętnie młodemu, którzy, nahasawszy się w karnawale, chcieliby zażyć szlachetniejszej

przyjemności w poście i na wiosnę. Doświadczony a biegły w swoim zawodzie artysta zaczyna w części I od najprostszych wskazówek dotyczących urządzenia sceny jaknajmniejszym kosztem i zachodem — z kobylic, desek, firanek, bleitramów, okien i drzwi przez łada stolarza zrobić się dających, a wskazówki swe unaocznia odpowiednimi rysunkami. Jest ich wszystkich jedenaście, każdy dostatecznie nas objaśnia. Następuje rzecz o obowiązkach reżyssera, wyborze sztuki, obsadzeniu ról i układaniu scenariusza; potem o próbach czytanych i granych, których ogólna liczba do dwunastu dojść musi, chociaż na szóstej już sztuka „powinna iść jak z płatką“. P. Rapacki określa co każda próba lub pewna ich grupa do umiejętności zagrania sztuki przynosić ma obowiązek. Rozdział trzeci zajmuje się charakterystyką i ubraniem i szczegółowo mówi gdzie czego dostać, co i jak zrobić można. Część II otwiera już amatorowi progi samej sztuki scenicznej; daje mu wiele szacownych, i poza praktycznym celem wartości swą mających, nauk o wymowie, geście, mimice. Gestów nie radzi p. R. z góry obmyślać; dość będzie przejąć się rolą; gest sam się już wtedy znajdzie. Przestrzega autor przed zerkaniem na publiczność — nawet amatorską. Złota przestroga: przydałaby się niejednej artystce z powołania. Przy wyborze sztuk spotykamy bystrą uwagę, że „każda sztuka bez głębszej wartości wymaga daleko większego wysiłku talentu i pracy do wykrzesania iskry zajęcia u publiczności“. Dlatego radzi p. Rapacki nie zrażać się wrzekomą trudnością sztuk lepszych, a zaczynać wybór od swojskich — i nie unikać nawet *Ślubów*, *Jowialskiego*, a co więcej, i *Zemsty*. Nie święci garuki lepią, a celem teatru amatorskiego nie jest popis przed krytyką i parterem, ale wspólne ubawienie się z widzami. Na końcu książki od str. 125 — 139 zamieszczono spis *sztuk przydatnych do grania na teatrach amatorskich*, — szkoda, że zbyt długi, a zatem nieulatwiający wyboru. Przy tytułach komedii firma wydawnicza podaje cenę książek je obejmujących. W przewodniku swoim przedrukował p. R. *Kosę* i *Kamień* Kraszewskiego, zaopatrzwszy tę miłą fraszkę w znamiona akcentowe, wskazujące ton a raczej registr głosowy potrzebny dla danego zdania lub wyrazu.

17. „*Medea*“ Eurypidesa w przekładzie p. Józefa Łabuńskiego. Tłumacz jest autorem dwóch dramatów wydanych wciągu kilku lat ostatnich: *Agrypiny* i *Ziemowita*; o pierwszym z nich pisaliśmy w swoim czasie w *Bluszczu*. Przekład zajmującej tragedii eurypidesowej, drukowany w *Zyciu* z r. 1889 (N N. 47, 49, 50 i 52) zaleca się przede wszystkim potocznością: znawcy niechaj rzucą go na marmur dla przekonania się czy rzetelny. Parę ustępów wytrzymało próbę. Polskie wysłowienie grecczyzny jest wogóle zdarzone, niekiedy wdzięczne, a nawet piękne. Dokonano go wierszem miarowym, ale nie szanującym tej metryki, według której sam oryginał łamie się w wiersz. — Po opowiadaniu i żalach Mamki uderza nas krzyk Medeji zza sceny: „Niech niebieski ogień strzaska moją głowę! Na co życie! Weźcie mi to nienawistne, to obmierzłe życie moje!“ A chór upomina, żeby nie pragnąć śmierci. „Przyjdzie ona, przyjdzie sama, zawsze, wczesna, zawsze prędka“. Potem Mamka chciałaby jakiejś pieśni, coby, nie wesołość rozniewalała w duszy, ale rozpacz w niej gasiła. Ojcowie śpiewali tylko dla uczty i hymenów — „lecz nikt dotychczas nie umiał wymyślić, jak zapomocą śpiewów lub muzyki boleść śmiertelnych posępna ukoić, boleść brzemienną zabójstwem, klęskami dla rodzin całych.“ Wpada na scenę Medea. Tragik grecki świetnie tu rozwija boleść serca zranionego przeniewierstwem Jazona, który — dla kariery — bo to już i wtedy bywało — żeni się z córką Kreona, króla Koryntu. Ach, jakże nieszczęśliwą jest kobieta! Dom dla niej wszystkim; jeżeli w domu serce jej żyć nie może — gdzież się podzieje? A mężczyzna zawsze sobie poradzi i zawsze ma dla siebie przywilej nawet w trudach i niebezpieczeństwach samej śmierci. „Mówią, że my bezpiecznie prowadzimy życie przy naszych ogniskach, a oni walczą żelazem... To próżne mamił! Trzykroć wołałabym z orężem w rękę stanąć przed wrogiem, niż raz matką zo-

stać!“ Potem budzi się już w niej lwica, która tylko oblecze się w kocia skórę, aby na Kreonie wymóżyć zwłokę wygnania, a potem jeszcze jak zraniona gołąbka wkraść się potrafi w łaskę Egeusza Ateńskiego, aby gdzieś znaleźć dla siebie przytułek po wykonaniu zemsty na Jazonie. A wykonać ją postanowiła przez zabicie mu narzeczonej i dwóch synów, a własnych swych dzieci. Przed stanowczością kobiety — niechaj drżać wszystkie Jazony! — dusze istotnie lichy i do których dreszcz łatwy zawsze znajdzie przystęp. „Kobieta słabe, lekkie stworzenie od bitwy pierzcha, drży na widok miecza; lecz jeśli kto ją w jej prawach małżonki znieważać zechce — o, wtedy nie znajdzie bardziej krwiożerczej, bardziej mściwej duszy“. Nie się od dwóch tysięcy trzystu i od legendowych trzech tysięcy dwustu lat nie zmieniło. Nad Jazonem Medea już całkiem panuje i z chytrą panterą nakłania go do przyjęcia dzieci z podarkami dla narzeczonej. Wyższość woli, prawa i uczucia przemawia tu nie tylko językiem namiętności, ale i trzeźwego praktycznego rozsądku. Różnych argumentów i hipotez używa Jazon dla obronienia swej tezy — przeniewierstwa; niektóre są dyalektycznie doskonałe, przepyszne. Tylko chór mu przypomina, że pięknie mówić jest dobrze, ale żony nie zdradzać jeszcze lepiej. Poryweża silna natura Medeji nienawidzi przede wszystkim pięknych słów. „Każdy kto pięknym słowem umie pokryć niesprawiedliwość, wart jest ciężkiej kary; bo, upiększając słowami złe czyny, pełni oszustwo, a to nie jest mądrość“ — logika starożytna. Mściwa kobieta, z zarem swym stojąca obok Fedry, wreszcie wykonywa zemstę: posyła dzieci z podarkami dla macochy: z korony złotej buchnęły ognie, pociekły żary, szata przygła do ciała, które poodpadało aż do nagich kości. Tego jeszcze zamało: Jazon nie będzie miał dzieci; dzieci nie pójdą w poniewierkę u obcych. Czarownica je zabije: „Precz, nędzna bojaźni, strachu nikczemny, precz! Nie myśl o dzieciach, zapomnij, żeś je kochała, zapomnij, że one twoje, że są z ciała twego... tylko na dzisiaj, na dzisiaj zapomnij, a potem płacz, płacz nad nimi wieki! Bo choć zabijesz je, ty kochasz, matko, — kochasz, nieszczęsna, swoje biedne dzieci“.

Po tych słowach wpada do pałacu Kreona. Daremna była modlitwa chóru niewieściego: „Jasny promieniu słońca, ziemio święta wejrzyj swem okiem na tę obłąkaną i wejrzyj, nim krwawą dzieciobójczą ręką na swoich synów podniesie“. Po dzieciobójstwie Helios, ojciec Eetes, ojca Medeji, przysyła po nią wóz słoneczny: wiedźma zabiera ciała swych dzieci i wzbija się w powietrze, odpierając złorzeczenia Jazon, własną jego niegodziwością: „Któryż bóg, któryż duch ciebie wysłucha — zdrajcę i kłamcę i krzywoprzysięcę?“

Przekład poprzedził p. Ł. wstępem wyjaśniającym przedmiot. Dlaczego Eetes nazywa „Aetesem“, a nienawiść uważa zawsze za krokiem tylko jednym oddzielną od miłości? — może tak być, a może nie być — zależy to od serca, a lepiej — od egoizmu, dającego charakterowi i siłę i sam kierunek. Do słabszych miejsc przekładu należą: „Antistrofa II po wyjściu Jazon, a przed wejściem Egeusza. „Cefiza“ lepiej: „Cefizu“ — a najlepiej „Kefizu“. Wy pogrzebiecie mnie rękoma swemi; „oczki“ — bezwarunkowo wstrętne, choć dziś używane coraz częściej; „nie chcę zostawić dzieci obcej ręce więcej okrutnej i śmiałej“. W zakończeniu „*Calus* pożegnany“ Jazona bardzo słaby; Bogów lepiej zwać na świadków, niż za świadków. W odbiciu nam nadśladanem tłumacz popoprawiał błędy korekty, zmieniające zupełnie myśl lub wprowadzające bezmyślność.

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

W jaki sposób zabija elektryczność. — Oko elektryczne. — Karabin bez prochu. — Intelligencya pszczół. — Wiek ptaków.

Tak pożyteczny i potężny czynnik jak elektryczność, który nam w ostatnich czasach oddał prawdziwie cudowne usługi, posiada jedną ujemną stronę t. j. szkodliwie wpływa na zdrowie i życie człowieka, gdy prąd spotęgowany przebiega przez organizm. O często wydarzających się smutnych wypadkach i radach pod tym względem znakomitego Edisona mówiliśmy w poprzedniej pogawędce w *Bluszczu*. Obecnie pragniemy się zastanowić nad tem: w jaki sposób mianowicie wydarza się śmierć u ludzi porażonych silnymi strumieniami elektrycznymi.

W przedmiocie tym miał przed niedawnym czasem p. Doulin odczyt w towarzystwie medykosadowem nowo-yorckiem. Powszechnie mniemają, że strumienie elektryczne, przyszedłszy w zetknięcie z ciałem, przebiegają po jego nerwach aż do mózgu, jak po przewodnikach metalicznych, a dotarłszy do centrum nerwowego, spowodują w nim wstrząśnienie (*choc*), które może być przyczyną śmierci. Tymczasem rzeczy mają się zupełnie inaczej. W organizmie żyjącym głównym przewodnikiem elektryczności jest krew i właśnie naczynia krwionośne doznają, przy przechodzeniu prądu elektrycznego, największego wstrząśnienia, a temsamem najbardziej cierpią. Przedewszystkiem podlega uszkodzeniu (jeżeli się tak można wyrazić) i najsilniej je odczuwa krew; nerwy zaś i ich centra otrzymują dopiero następne wstrząśnienia, wywołane przez prąd elektryczny.

Jeżeli śmierć następuje natychmiastowo — a co, jak wiemy, miewa miejsce wówczas, gdy prądy są nadzwyczaj silne, a zwłaszcza, gdy dotykają w sposób raptowny i działają przez czas dłuższy — śmierć spowodowaną zostaje przez działanie elektryczności na serce, a przychodzi to do skutku za pośrednictwem krwi: silny skurcz serca opróżnia raptownie komórki sercowe, wypierając całkowitą ilość krwi z niego do rozlicznych organów, w których powoduje przez to bardzo silne przekrwienie.

Jeżeli śmierć następuje po pewnym czasie, wówczas przyczyna jej leży w rozkładzie krwi, powodującym zaburzenia w rozlicznych organach i w krążeniu. Najsilniej dotknięte bywają płuca, jako organa najdelikatniejsze i zarazem zawierające w sobie największą ilość krwi; skutkiem tego właśnie śmierć następuje przez uduszenie, przez oddlenienie kulek krwi lub skutkiem przekrwienia płuc. Próby tracenia zbrodniarzy przy pomocy elektryczności robione były z tak silnymi prądami, że są one w stanie niszczyć tkanki człowieka natychmiast i bezpowrotnie. Dziś próbują także stosować w Ameryce elektryczność do zabijania zwierząt, przeznaczonych na pożywienie.

Jeżeli przyczyną śmierci jest rozkład krwi i uduszenie, to sądzimy, że sposób zabijania zwierząt zapomocą elektryczności w praktyce nie wyda pożądaných rezultatów, gdyż prawdopodobnie oddział na smak mięsa, które nadto jeszcze szybciej psuć się będzie.

Mieliśmy już sposobność mówić niejednokrotnie o łączności zmysłów w naszym organizmie, o wyręczaniu się wzajemnem pojedynczych zmysłów, o zastępowaniu jednego drugim, gdy który z nich uległ osłabieniu lub zupełnie przestał funkcjonować. Zależność ta została już dziś naukowo stwierdzoną, a jako dotykany jej przykład przytoczyć można fakt, iż osoby zupełnie głuche od-

bierają niektóre dźwięki, gdy dochodzą przez podłogę, mówią wtedy „słyszę przez nogi.“ Powinni raczej mówić: „namacalem dźwięki przez nogi“ albowiem tu drganie wywołane w podłodze spowodowało pewnego rodzaju czucie, które w organizmie, a nie w uszach, powodują wrażenia słuchowe. Podobna zależność istnieje także między dotykaniem a innymi wrażeniami zmysłowymi odbieranymi w stanie normalnym przez organa prawidłowo funkcjonujące. Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że, gdy jeden zmysł uległ zniszczeniu, inne wykształcają się w wysokim stopniu.

Niedawno mieliśmy sposobność podać życiorys Amerykanki Laury Bridgeman, która, posiadając się jedynie zmysłem dotykania, — była bowiem pozbawiona wszystkich innych — wyuczyła się czytać, a nawet pisać. Największem nieszczęściem, jakie człowieka w tym względzie dotknąć może, jest bezzaprzeczenia utrata wzroku, a jednocześnie i wyręczenie go przez inne zmysły jest także najtrudniejsze. Głuchy, pozna po ustach co się mówi; domyśli się po geście; można mu napisać to, co się chce powiedzieć. Ale jakże tu pokazać ślepeму: jak nieszczęśliwy ten ma ocenić światło i ciemność, kolor i bezbarwność, bliskość i dalekość! Zdaje się rzeczy raz na zawsze stracone! A jednak znalazł się człowiek, który postanowił nieszczęśliwym tym przyjść z pomocą i na tem polu usilnie wciąż pracuje, jak zaraz zobaczymy, niebezowocnie.

Mamy tu na myśli D-ra Kazimierza Noiszewskiego z Dynaburga, który pracę swą w danym przedmiocie zamieścił w przedostatnim numerze *Gazety Lekarskiej* z roku zeszłego.

Wynalazek D-ra Noiszewskiego nie jest zupełnie nowym. Kierował się on wskazówkami podanymi przez Simensa jeszcze w roku 1876, lecz w zastosowaniu ich posunął się znakomicie naprzód. Postanowił dojść przynajmniej do tego, aby ślepy mógł zdać sobie sprawę ze zjawienia się przed nim przedmiotu świecącego lub ciemnego, a także, aby mógł rozpoznać: czy przedmiot ten znajduje w spokoju czy się porusza, zbliża czy oddala?

Wydawać-by się komuś mogło, że jest to bardzo mało albo wcale nie; kto jednak zna dokładnie los osoby, która wzrok utraciła, ten z łatwością zrozumie: jakim szczęściem będzie przynajmniej możność odróżnienia dnia od nocy i jakietakie oryentowanie się w przestrzeni.

I tu także głównym czynnikiem jest elektryczność.

Niektóre ciała posiadają własność przewodnictwa elektrycznego jedynie przy oświetleniu, w ciemności zaś tracą ją częściowo lub całkowicie. Do takich należy Selen, będący złym przewodnikiem elektryczności a stający się doskonałym, gdy go oświetlić.

Otóż, jeżeli podobną płytkę selenową położymy na czole i połączymy ją z maszynką elektryczną, natenczas w chwili oświetlenia jej skóra odbierać będzie wrażenia ciepłikowe, co niewidomego objaśni, że jest widno, — gdy ostygnie, będzie wiedział, że jest ciemno.

Przyrząd D-ra Noiszewskiego jest dosyć skomplikowanym, a braknie mu jeszcze bardzo wiele do dokładnego wykończenia; w każdym jednak razie można mieć nadzieję, że po udoskonaleniu go będzie można nadzieję nieszczęściu znakomita ulgę, a to przy pomocy urządzenia, skutkiem którego niewidomi będą mogli, że tak powiemy, *dotknąć* się zmysłem wzrokiem danego przedmiotu zamiast go *dojrzeć*.

Dużo się dziś mówi, a pisze jeszcze więcej, o znakomitym wynalazku Pawła Giffarda. Wynalazkiem tym jest karabin „powietrzny“, owiele lżejszy od dotychczas używanych, podobny do broni magazynowej z tego względu, że pod lufą znajduje się ładownica mieszcząca w sobie 300 pocisków, które bez ognia, dymu i huku przeszywają głowy, piersi, brzuchy i kończyny. Rolę materiału wybuchowego spełnia w nim mechanizm *pneumatyczno-skrapający*, działający owiele silniej od dotychczas znanych. Skroplone powietrze natychmiast po wystrzale

zmienia się znowu w gaz i skutkiem rozprężliwości wyrzuca następny pocisk z kolosalną siłą. Po wystrzeleniu owych trzystu nabożów przyskrubowuje się nową ładownicę z nowym ładunkiem, którego koszt ma wynosić wszystkiego 10 centymów, strzela się w dalszym ciągu, niesie śmierć i zniszczenie i tak — *usque ad finem*. Karabin ten „szczyli się“, według słów wynalazcy, następującymi przymiotami: dokładność strzału niechybna; strzelać można jedną ręką albowiem niema żadnego szarpania; wypadki, w chwili nabijania, co się wydarza z dotychczasowymi karabinami, są niemożliwe, z powodu, że niema w nim żadnej materii wybuchowej; lufa nie rozgrzewa się wcale, nawet po trzystu strzałach; same naboje, zawierające skroplone powietrze, są bardzo lekkie, mogą być z łatwością transportowane i nie podlegają, podobnie jak i sam karabin, zmianom atmosferycznym i temperatury. Broń urządzona jest zarówno do kul stożkowych, jak i do okrągłych. Kaliber ma sześć — ośm — i dwunasto-milimetrowy.

Karabin Giffarda otrzymał nazwę „ballistique.“ W przyszłości tedy będziemy strzelać bez huku i dymu.

Wynalazek ten przedstawia, jak widzimy, wiele dodatnich stron; ale jest także jedna wielce ujemna. Mianowicie, wiadomo, że dym w wysokim stopniu staje na przeszkodzie nieprzyjacielowi w celowaniu. Otóż, gdy zbraknie tej zasłony, nieprzyjaciół będzie strzelał, do żołnierzy, uzbrojonych w karabiny *ballistique*, jak do celu. Niedogodność tę wszakże nowy karabin podziela i z dotychczasowymi prochowymi od chwili wynalezienia dla nich prochu bezdymnego.

Pszczoły uważane są powszechnie za istoty obdarzone wysoko wykształconym instynktem (intelligencyą?). Tymczasem Jan Lubbock na zasadzie licznych obserwacji przyszedł do wprost przeciwnego wniosku. Badacz ten robił spostrzeżenia nad pszczołami należącymi do rodziny *Chalcidodoma pyrenaica*, które budują sobie komórki cementowe i wypełniają je miodem. Lubbock w podobnej komórce cementowej, około której pszczoła pracowała, korzystając z jej nieobecności, wywiercił, w dolnej ścianie, małą otworę, przez który miód natychmiast zaczął wyciekać. Gdy pszczoła wróciła, zauważyła z pewnością otworę, a zwłaszcza ubytek miodu, nie *wpadła* jej jednakże na myśl zalepić go: pracowała w dalszym ciągu, zносиła miód, który, naturalnie, ciągle ubywał, zносиła jajko i zalepiła pustą komórkę. Nie podlega wątpliwości, że pszczoła była zdolną zalepić otwór, nie uczyniła zaś tego jedynie z powodu braku *intelligencyi*. Gdy L. wyjmował kawałek z bocznej ściany komórki, wówczas pszczoła reparaowała wyrządzoną jej szkodę, gdyż nie potrzeba było do tego głębszego *zastanowienia*.

Inne doświadczenie było tego rodzaju. Lubbock wpuszczał pszczołę w naczynie szklane, mające 18 cali wysokości i opatrzone u góry wązkim lejkiem, długim na 6½ cala, a otwór jego kierował w stronę okna. Pszczoła brzęczała w nim przez godzinę, a gdy widział, że nie potrafi się wydobyć, wypuścił ją do ula. Tymczasem dwie muchy, które pomieścił z nią jednocześnie, wyfrunęły prawie natychmiast. Nie wykazuje to jednakże, aby muchy posiadały wyższą *intelligencyą*, niż pszczoły, lecz poprostu, że one dążą zawsze do światła, tymczasem, jak wiadomo, pszczoły przekładają ciemność.

Ptaki w ogólności żyją bardzo długo. I tak najdłużej żyjącym ptakiem jest podobno łabędź, którego wiek niekiedy dochodzi do 300 lat. Knauer powiada, że widział kilka jastrzębi, z których jeden miał 162 lat. Ptaki drapieżne żyją bardzo długo; znana jest długowieczność orłów i sokółów. W roku 1819 zdechł orzeł schwyty w r. 1715, a więc przeżył przeszło 100 lat. Sęp schwyty w r. 1706 zdechł w zwierzyńcu w pałacu Schönbrunn pod Wiedniem dopiero w r. 1824.

Inne także gatunki odznaczają się długowiecznością. Papugi żyją niekiedy 100 lat i dłużej od chwili ich schwytania; podobnie i kruki. Sroki trzymane w niewoli żyją po 20 do 25 lat, na wolności zaś znacznie dłużej. Kogut domowy żyje 15 do 20, a gołąb do 10, małe ptaszki śpiewające po 8 do 18 lat. Stosunkowo do innych ptaków krótko żyje tak ślicznie śpiewający słowik: wszystkiego tyle, co gołąb. Życie kanarków hodowanych w Europie trwa tylko od 12 do 15 lat, na Wyspach zaś Kanaryjskich, na swobodzie, ptaszki te żyją podobno znacznie dłużej.

Dr. J. S.

Z bieżącej chwili.

— **Muzeum zoologiczne w Petersburgu** otrzymało bogaty zbiór zwierząt kręgowych z gór Tian Szan, składający się z 84 exemplarzy ssaków, 157 skórek ptasich, 151 płazów i amfibi, 92 ryb.

— **Wystawa zabawek** otwartą będzie w Petersburgu w drugiej połowie bieżącego miesiąca.

— **Potrzeba przywrócenia Kółka dla podrzutek** przywiodła ludziom na myśl początek tej instytucji. Założył ją filantrop tkliwego serca, Francuz, przybyły do nas w 1717 r., Ks Baudoin. Wzruszony losem dzieci, przeznaczonych już z chwilą urodzenia na nędzę i opuszczenie, zaczął on kwestować na wzniesienie dla nich przytułku, i za grosz tak uzbierany kupił w 1732 r. kamienicę na Krakowskim Przedmieściu w miejscu, gdzie dziś wznosi się stary gmach, zwany pałacem Karasia, i tam, wezwawszy do pomocy Siostry Miłosierdzia, urządził przytułek przyjmujący podrzutek i dzieci pozbawione opieki, z celem wychowywania ich, aż do chwili, gdy o własnej sile będą mogły stanąć do pracy. W rok potem, w 1733 r., dom został zburzony, ale wytrzymało w sercu zacnego kapłana uczucie miłości cierpiącej ludzkości i ponownie kwestować począł, aż w 1737 r. już mógł nanowo przytulać biedne niemowlęta. W 1754 r. położył kamień węgielny pod budowę dzisiejszego szpitala *Dzieciątka Jezus*, na włóce gruntu, nabytej za 300 dukatów od zgromadzenia Misjonarzy a zwanej S-to Kaźmierską. W 1758 wydany został przywilej królewski na erekcyę miłosiernej fundacyi, a on umarł w 1768 r., licząc lat 79, przecież do ostatniej chwili życia ofiarnie poświęcony miłosierdnemu dziełu swemu. W tym roku 1768 *Dzieciątka Jezus* dawało schronienie 413 dzieciom, 277 chorym. W 1826 r. Staszyc obdarował ten zakład świętobliwy zapisem 200.000 złp., w 1878 roku zostało skasowane *Kółko*, gdzie nieszczęśliwe sieroty składano potajemnie.

— **Dwa konkursy** zostały rozpisane. „Gazeta Rolnicza“ otworzyła konkurs z nagrodą 1.000 rs. na dzieło o uprawie roli mechanicznej i chemicznej; termin składania rękopisów według form zwykłych w takich razach jest d. 1-go Stycznia 1892 r. Redakcyja „Rolnika i Hodowcy“ ogłosiła konkurs na ułożenie wzoru dla ksiąg rachunkowych, któreby wykazywały dochody z majątku i stosunek ich do wydatków osobistych właściciela. Nagroda za pracę najlepszą jest 300 rs. Termin nadsyłania prac konkursowych jest d. 31 Marca 1891 r.

— **Pomnik dla Królikowskiego**, wykonany przez Syrewicza, umieszczonym będzie w Salach Redutowych.

— **Czytelnia w Radomiu**, otwarta na początku zeszłego lata, miała zrazu jednego tylko czytelnika, który zgłaszał się o wypożyczenie książek; obecnie posiada ich 120, a w tej liczbie jest 57 rzemieślników, 23 osób niedorosłej młodzieży, 9 urzędników, 4 pracowników z warsztatów kolei żelaznej, 4 szwaczki, 3 kupców, 3 woźnych, 2 ogrodników. Czytelnia posiada 642 książek; przez siedem miesięcy trwania miała dochodu 158 rs., w tej summie mieści się 23 rs. od czytelników. Czytelnia bywa otwartą: w Niedziele i Święta od godziny 3 do 5, w Soboty i wile świąt od 6 do 8-my wieczorem, we Czwartki i Wtorki od 7 do 8; na każde posiedzenie przychodzi po książki od 15 do 40 osób; dotąd żadna książka wypożyczona nie zaginęła, ani zniszczoną nie została.

— **Wystawa ogrodnicza**, zapowiadzana na rok bieżący w Warszawie, została odłożoną do roku przyszłego. *Towarzystwo ogrodnicze* postanowiło urządzić corocznie wystawy w miastach prowincjonalnych. Na rok przyszły projektowaną jest wystawa w Lublinie lub w Radomiu.

— **W Berlinie** odbędzie się *Powszechna wystawa ogrodnicza* w czasie od d. 25 Kwietnia do 5 Maja włącznie; obok tego zbiorą się tam cztery wielkie kongressy ogrodnicze: „Stowarzyszenia lubowników róż“, „Stowarzyszenia znawców ogrodnictwa“, „Stowarzyszenia niemieckich sztukmistrzów ogrodniczych“, „Związku handlujących ogrodników niemieckich“. Celem zebrań jest kwestya nagród, oraz omówienie spraw Związku ogrodników niemieckich.

— **Ilustracyja niemiecka** „Daheim“ umieściła reprodukcją obrazu Siemiradzkiego: „Szopen u księcia Radziwiłła“. Opisujący treść obrazu podnosi zrazu bardzo wysoko jego artystyczną wartość, zwłaszcza wyborne uchwycenie charakteru osób, które przedstawia. Pismo to liczy trzysta pięćdziesiąt tysięcy prenumeratorów.

— **Miejsce dla posagu Mickiewicza** w Krakowie zostało nakoniec wybrano. Postawionym on będzie na placu przy zbiegu ulicy Sławkowskiej z plantami, który-to plac ma urządzić miasto, nadając mu miano „Placu Mickiewicza“. Pomnik stanie na osi Ulicy Sławkowskiej i, widziany z rynku, sprawiać będzie odpowiednie wrażenie wielkiego pomnika. Miejsce poprzednio projektowane wprost Ulicy Szewskiej uznano po urzędzonej próbie za nieodpowiednie z powodu, że słońce, bijące z tyłu, oblewałoby go dzień cały promieniami swymi.

— **Ważny przyczynek do historii Kopernika** przedstawia dokument kościelny, znaleziony w Pelplinie. Jest to akt przyjęcia rodziców wielkiego astronoma: Mikołaja i Barbary Koperników, oraz ich dzieci przez o. Zarembę, krakowskiego prowincyała dominikańskiego, do bractwa, dającego uczestnictwo w duchownych przywilejach zakonu. Kopernikowie mogliby byli naturalniej i dogodniej zwrócić się w tej sprawie do Dominikanów w Toruniu, że zaś tak nie postąpili, dowodzi to, że stronili od nich z powodu zniemczenia się tego klasztoru.

— **Gazeta Olsztyńska**, wychodząca w Warmii, jest bardzo dobrze redagowaną i bardzo dla ludności tamtejszej potrzebną w interesie jej odrębności od Niemców. Przecież nie rozchodzi się tej pożytecznej publikacyi tyle, ile-by należało.

— **W Wiedniu** wyjsz ma album historyczne, do którego wydawca zamówił u Matejki wizerunki królów, za cenę 10.000 zł. r. Część historyczną opracować ma Smółka. Koszt wydawnictwa oznaczają na 35.000 zł. reńskich. Przypuszczają, że łoży na to fundacyja Hirscha.

— **Konkurs na plan budowy Muzeum Przemysłowego** we Lwowie został rozstrzygnięty. Pierwszą nagrodę w summie 1.000 zł. reń. z funduszu pamiątkowego lwowskiej kasy oszczędności przyznano prof. politechniki lwow., Gustawowi Bizancowi; drugą: 600 złr., architektowi Zawieskiemu z Krakowa; trzecią: 400 złr. prof. politechniki Marconiemu.

— **W Paryżu** wychodząca „Gazette des Beaux Arts“ zamieściła w kronice swojej: „Chronique des Arts et des Curiosité's“ artykuł „Les Artistes en Pologne“, którego autor zna dobrze Kraków i nazywa go: „Une ville merveilleuse“. Podnosi on zarazem ważność naukową „Sprawozdań komisyi do badania historii sztuki“, wydawanych przez Akademią Umiejętności.

M Y Ś L I.

Co w duszy ludzkiej leży potrzebą,
To Bóg sam, w ludzkie osnował prawa:
Dla młodych miłość, dla silnych sława,
Dla cichych szczęście — dla smutnych niebo. —

Jak chce symbol natury,
Mądrość i słońce jaśnieje z góry.
Słońce też musi na ziemi łono
Rzucić swój promień czysty i złoty,
Mądrość być musi w serca wsączoneą,
By stworzyć objaw ciepła i cnoty.

Z liłości Pana
Na każdą troskę pociecha dana:
Spokojna godność, wytrwałość z pracą
Ubóstwo znoszą, albo bogactw.

Żmichowska.

— **Komiteł Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** podaje do wiadomości, iż z zapisu ś. p. Ignacego *Ciszelewskiego* wawokować będzie od dnia 1 Kwietnia r. b. stypendyum dla młodzieńca poświęcającego się sztuce rzeźbiarskiej, podług wyboru Komitetu Towarzystwa. Kandydaci, ubiegający się o powyższe stypendyum winni uczynić podania do Komitetu Towarzystwa do dnia 1 Kwietnia r. b. z treściwym opisem biegu życia, t. j. gdzie i kiedy się urodzili, gdzie i u kogo kształcą się w sztuce rzeźbiarskiej i gdzie mają miejsce stałego miejsca zamieszkania w Królestwie Polskiem, oraz przedstawić Komitetowi na dowód kwalifikacyi odpowiednim pracę swoją, oile ta nie była umieszczoną na wystawie Towarzystwa przed podaniem się na stypendystę.

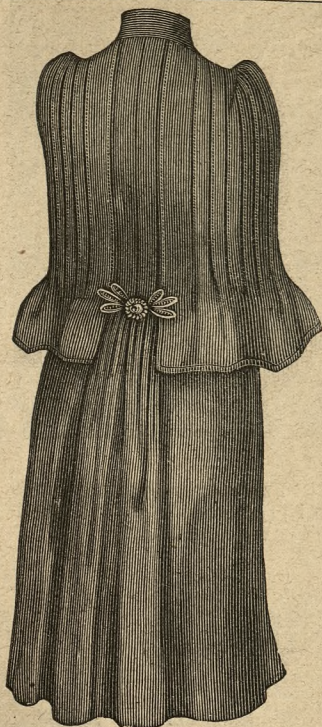
Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 13-ty i 14-ty powieści pod tytułem: **Odrącony** przez Reneusza Bazin.

TREŚĆ: Katarzyna Lewocka przez M. I. — **Drugie pokolenie.** Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — **Kto się lubi, ten się czubi,** przysłówie dramatyczne w 1-ej odsłonie, napisał J. Morosz. — **Echa literacie.** — **Z działu przyrody.** Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. J. S. — **Z bieżącej chwili.** — **Mysli.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 13-ty i 14-ty powieści, pod tytułem: **Odrącony** przez Reneusza Bazin. Przekład z francuzkiego. — **Przegląd mód.** — 28 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Spódniczka dla dzie-
ci od 1—2 lat. Ro-
bota szydełkowa.Rycina Nr 24—26 w Bl.
Nr 9).

Spódniczka wyko-
nana szydełkiem włó-
czką zefir koloru pon-
sowego i czarnego, czę-
ścią ściąganiem tunetań-
skim, częścią w musz-
ki. Dolny brzeg wy-
kończony rzędem łuk-
ków, wycięcie zaś szyc,
prawy tylny brzeg i
paszki koleją ząbków.
Nr 26 przedstawia dol-
ny brzeg naturalnej
szerokości, rozpocząć
od dolnego brzegu
włóczką ponsową na
założeniu 136 o., złą-
czonych 1 ścis. ocz. w
kółko, dalej jak na-
stępnie, zwracając u-

Nr 1. Płaszcz wiosenny
(do ryc. Nr 19). Krój i opis
odwr. str. tablicy Nr VI, fig.
36—42.

Nr 3. Suknia z staniczkiem bretońskim (do ryc. Nr 24).

Nr 2. Suknia dla młodej
panienki (do ryc. Nr 11 w Bl.
Nr 11). Kr. i op. pierw. str.
tabl. Nr IV, fig. 26—34.

wiednio do formy, w
ostatnich zaś 8 kole-
jach na rozporek przy
rozpoczęciu każdej ko-
lei nową zakładając nit-
kę. Staniczek wyko-
nać ściąganiem tunetań-
skim, uwzględniając
formę i wykroj paszek.
Wycięcie szyci otoczyć
ząbkami, jako też pasz-
ki i lewą tylną część,
w której należy wyko-
nać dziurki do odpo-
wiednich guzików
przyszytych do pra-
wego tylnego brzegu.
Dolną część spódnicz-
ki otoczyć rzędem łuk-
ków jak następuje: 1
kolej: włóczką czarną
ciągle na przemian: 1
ścis. o. w żyłkę pomię-
dzy dwa desenie 1 ko-
lei, 5 słupków w oczko
założenia, naostatek 1

Nr 4. Fartuszek z atłasu
„merveilleux.”

wagę, ażeby robotę wyko-
nywać luźno. — 1 kolej:
Z następných 2 o. zebrać 2
o. i znajdujące się o. na
szydełku przerobić 1-m ocz.
* 1 o. z o. zebrać 2 o.
z następnego, 2 o. zebrać,
zebrane na szydeł. 1 ocz.
przerobić, od * powtórzyć.
Ostatnie o. z o. zebranego,
w którym wykonano 1 ścis.
łań. o., potem 1 ścis. łań. o.
w o. przez które przerobio-
no 1 o. tejże kolei — 2 ko-
lej: * 3 o. zebrać a miano-
wicie: 1 o. z o., przez które
przerobiono poprzednie ści.
łań. o., 2 o. w żyłkę, po-
między dwoma ostat. po-
przezcznemi nitkami muszki
3, zaś o. w o. ostatniego de-
seniu. Zebrane na szydełku
przerobić 1 o., od * powtó-
rzyć. — 3 i 4 kolej jak po-
przednia. — 5 kolej: włóczką
czarną ciągle 1 ścis. ocz.
w każde o. — 6 i 7 kolej jak
poprzednia, ale 6 włóczką
ponsową. — 8 i 9 kolej włócz-
ką czarną jak kolej 1-a i 2-a,
ale w 8 kolei ciągle w ocz. —
10 do 14 kolej jak kolej 5
i 9. — 15 do 17 kolej jak 5
do 7. — 18 do 28 kolej włócz-
ką ponsową jak kolej 1-sza,
ale w 18 kolei ciągle w o.
Dalej w 20 kolej po wyko-
naniu 7 deseni rozpoczyn-
ając kolej z dwóch boków
14 deseni i przed ostatnie-
mi 7 należy ujmować odpo-

Nr 6. Suknia z materiału haftowanego
wełnianego i aksamitu. (Kr. i op. odwr.
str. tabl.).

Nr 7. Paltot z aksamitu.

Nr 8. Suknia dla panienki od
5—7 lat.Nr 5. Fartuszek z jedwabnego
repsu.

ścis. łań. o. w 1 o. tejże ko-
lei. — 2 kolej: włóczką pon-
sową * po obydwóch bokach
następných ścis. o. poprzed-
niej kolei w znajdujących
się tam ocz. założenia 1 o.
zebrać z każdego i takowe
powyżej ścis. o. razem prze-
robić, 2 ścis. o. w następ. 2
sł., 2 ścis. o. w następ. sł.,
2 ścis. o. w następ. 2 sł. od
* powtórzyć a na końcu 1
ścis. łań. o. w 1 ścis. o. tej-
że kolei.

Gwiazdki do łączenia na
serwetki i t. p. Robota
szydełkowa.

Rycina Nr 27 i 28 w Bl. Nr 9.

Gwiazdy wykonane krę-
tą bawełną koloru „crème”,
każda pojedynczo do łącze-
nia z sobą podług ryciny.
Wielką gwiazdę rozpocząć
od środka na założeniu 16
o. połączonych w kółko 1
ścis. ocz. — 1 kolej: 3 pow. o.,
35 słupków w kółko, nako-
niec 1 ści. łań. o. w 3 pierw-
szych 3 pow. ocz. tejże ko-
lei. — 2 kolej: 5 pow. o., 17
razy na przemian 1 sł. w 2
z rzędu o., 2 pow. o., nako-
niec 1 ści. łań. ocz. w 3
pierwszych 5 pow. o. tejże
kolei. — 3 kolej: 3 pow. o., 3
słup. w następ. 2 pow. ocz.,
17 razy 4 słup. w następ. 2
pow. o., 1 ści. łań. ocz. w 3

pierwszych 3 pow. ocz. tejże kolei. — 4 kolej: * 3 ścis. o. w następne 3 o., 5 pow. o., 3 ścis. o. w następ. 3 o., 1 pow., 5 pikotów (na każdy pik. 6 pow. o. i 1 ścis. o. w 1 o. z tychże), 9 pow. ocz., ostatnie 7 złączyć w kółko 1 ścis. łań. o., 6 pow. o., 2 sł. rozdzielone 7 pow. o. w kółko, 6 pow. o., 1 ścis. ocz. w ostatnie przedtem wykonane 9 pow. o., 1 ścis. o., 1 pół. sł., 5 sł., 1 pół. sł., 1 ścis. o. w następne 6 pow. o., 1 ścis. o., 1 pół. sł., 6 sł., 1 pół. sł., 1 ścis. o. w następ. 7 pow. o., 1 ścis. o., 1 pół. sł., 5 sł., 1 pół. sł., 1 ścis. o. w następ. 6 pow. o., 1 ścis. łań. o. następnego łuku, 5 pik., 1 pow. o., od * 11 razy powtórzyć. Przy każdym powtórzeniu środkowe pierwszych 5 sł. przyczepiać do poprzedniego deseni ostatnich 5 sł., a przy zakończeniu jeszcze środkowe ostatnich 5 słup. do środkowego pierwszych 5 słup., na koniec 1 ścis. łań. o. w 1 ścis. o. tejże kolei, poczem nitkę umocować i obciąć. — 5 kolej: nową nitką *

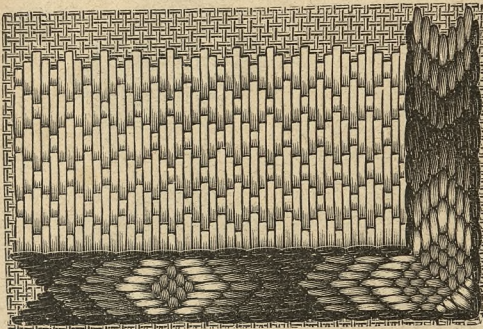
1 ścis. ocz. w ocz., w którym w poprzedniej kolei przyczepiono ocz., 1 pow. ocz., 1 pik., 2 pow. o., 1 ścis. o. w żyłkę znajdującą się pomiędzy następ. 2 ścis. o., 1 pow. o., 1 pik., 2 pow. o., 1 ścis. o.



Nr 9. Bukiet haftowany (do ryc. Nr 10).
Wielkość naturalna.



Nr 13. Część poduszki (do ryciny Nr 14).
Wielkość naturalna.



Nr 11. Szlak i deseniak (do ryc. Nr 10).
Wielkość naturalna.

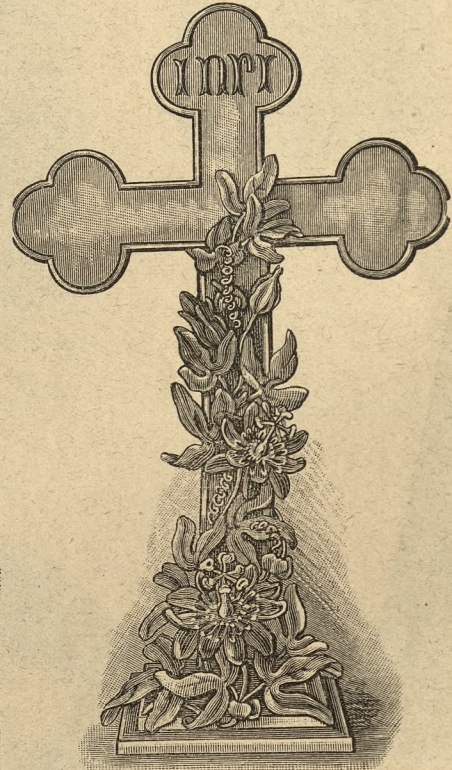
w 2 następ. 6 sł., 1 pow. o., 1 pik., 2 pow. o., 1 ścis. o. w 3 z rzędu o., 1 pow. o., 1 pik., 2 pow. o., 1 ścis. o. w żyłkę znajdującą się pomiędzy 2 następnymi ścis. o., 1 pow. o., 1 pik., 2 pow. o., od * jeszcze 11 razy powtórzyć, na koniec 1 ścis. łań. o. w 1 ścis. o. tejże kolei. Każdą następną gwiazdkę tymże sposobem wykonać. Małą gwiazdkę, która służy do zapełnienia otworów pomiędzy wielkimi gwiazdami, rozpocząć na założeniu w kółko 12 pow. o. 1 kolej: 3 pow. o., 23 sł. w kółko i 1 ścis. łań. o. w 1 z 3 pow. ocz. tejże kolei. — 2 kolej: ciągle 1 ścis. ocz. w każde o. poprzedniej kolei. — 3 kolej: * 2 ścis. o. w następne 2 o., 1 pow. ocz., 7 pik., 1 pow. ocz. Środkowy pikot należy przyczepić do wielkiej gwiazdy. Od * powtórzyć jeszcze 11 razy, na koniec 1 ścis. łań. o. w 1 ścis. o. tejże kolei.



Nr 14. Poduszka ozdobiona haftem sznelowym (do ryc. Nr 13). Deseni pierwsza strona tablicy Nr V, fig. 35.



Nr 10. Futerał na książkę (do ryc. Nr 9 i 11). Ścieg płaski, supełkowy i gałązkowy.



Nr 12. Krzyż ozdobiony kwiatami męki Pańskiej, wykonanie z gutaperkowej massy.



Nr 15. Haft do książki od nabożeństwa. (Ścieg atlasowy i haft metalowy).

Suknia z stanikiem bretońskim.

Rycina Nr 3 i 24.

Suknia z podszewki 200 cent. obwodu, pokryta całą falbaną z granatowego sukna 360 c. obwodu, zmarszczoną w górnym brzegu. Stanik z sukna granatowego, przybrany napiersnikiem z tegoż materiału. Haft wykonać podług ryc. Nr 24 przedstawiony w wielkości naturalnej jedwabiem żółtym, ścięciem gałązkowym i koronkowym. Kołnierz stojący, klapki na rękawy i wyłogi, wypełniające całość. Rękawy zmarszczone w górnym brzegu, zwężone o wiele można w dolnej części.

Fartuszek z atlasu „merveilleux.”

Rycina Nr 4.

Fartuszek z atlasu „merveilleux” koloru czarnego. Część środkową 31 cent. szer. obciąć ukośnie od dolnego do górnego brzegu, części boczne na 13 do 14 cent. szer., przednie zaś na 8 cent. wzdłuż. Zaokrąglić fartuszek w dolnym brzegu od środka do boków. Brzegi zewnętrzne obrabić oprócz górnego, który zaokrąglić na 2 cent. głębokości i wszyć wypustką. Dolny brzeg, przybrać po-

dług ryc. pliskami z atlasu wstążką aksamitną 6 c. szer. i kokardami z wstążki atlasowej 2½ c. szerok. Otoczyć koronką czarną gipiurową oraz kieszonką podług ryciny. Sznur jedwabny i guziczek służy do zapinania.

Fartuszek z repsu jedwabnego.

Rycina Nr 5.

Część repsu czarnego 100 c. szer. a 62 dług. ułożona na 52 c. odstepu w dwie kontrafaldy, każda 9 cent. szer. Górny brzeg po kilkakrotnie w równych odstepach zmarszczony na 8 c. szer. a 4 cent. wysok. i objęty listewką atlasową 1 cent. szerok. Dolny brzeg przybrany koronką hiszpańską 9 cent. szer. i raz powtórnie takąż koronką 7 cent. szer. Gre-



Nr 16. Kapelusz z tiulu koronkowego.

Nr 17. Kapelusz z krepy z haftowanym szlakiem.

lotki z perełek wykończają całość podług ryciny.

Paltocik z aksamitu.

Rycina Nr 7.

Paltocik z czarnego aksamitu, zaopatrzony jedwabną podszewką, w dolnym brzegu wycinany w zęby i ozdobiony czarną koronką i wąską czarną jedwabną pasmanterią zasłaniającą przyszycie koronki.

Sukienka dla panienki od 5—7 lat.

Rycina Nr 8.

Sukienka wykonana częścią z niebieskiego kaszmiru, częścią z tegoż koloru „surah.“ Przednia część stanika w rodzaju karczka pokryta marszczonym kaszmiem, plecy i przednie części z tegoż materiału, oraz ruszka 3½ cent. szerokości wycinana w zęby. Spódniczka 40 c. wys. a 150 obwodu, obszyta w dolnym brzegu 9 cent. szer. falbanką układaną w kontrafaldy i wycinaną w ząbki, pokryta całą częścią zmarszczoną kaszmiru 216 cent. obwodu. Szarfa 32 cent. szer. z „surah“ oraz rękawy z tegoż materiału wykończają całość.

Futerał na książkę.

Rycina Nr 9, 10 i 11.

Futerał wykonany na tkaninie niedzielonej 21½ c. wys. a 31½ cent. szer. rozmaitego koloru filozelą, ścięciem płaskim, atlaskowym, gałązkowym i supełkowym. Grzbiet z aksamitu 2 cent. szerokości. Część wewnętrzna z atlasu na tekturze i z kieszonkami do zakładania zewnętrznej części książki. Wzdłuż środka umocowany sznureczek gumowy. Wykonać naprzód szlak podług ryc. Nr 11 ścięciem stebnowanym jedwabiem czarnym, niebieskim, oliwnym i żółtym w cień,

przejmując tkaninę przez 4 nitki. Następnie wykonać z obydwóch stron futerału bukiet podług ryc. Nr 9, habry kolorem niebieskim a kaskol różowym, gałązki zaś i liście w kilku cieniach zieloną rozpołowaną filozelą. Środku ścięciem supełkowym filozelą żółtą. Związanie filozelą niebieską ścięciem atlaskowym. Motyl filozelą czarną, ponsową, niebieską i popielatą. Tło ryc. Nr 11 białym jedwabiem.

Krzyż otoczony kwiatami męki Pańskiej z gutaperki.

Rycina Nr 12.

Krzyż drewniany 44 cent. wys. na podstawie, cały złocony z pasieczkami bo brzegach koloru brązowego. Część przed-



Nr 18. Suknia spacerowa z sukna. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 53—57.



Nr 19. Płaszcz wiosenny (do ryc. Nr 1). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 36—42.

nia przybrana o wiele można zbliżonemi do natury kolorem i wielkością kwiatami Męki Pańskiej wyrobionemi z gutaperki pomalowanej odpowiednio.

Haft do książki od nabożeństwa. Ścieg płaski i ozdoby metalowe.

Rycina Nr 15.

Haft wykonany na aksamicie czarnym lub brązowym, podłożonym szyrtingiem, bajorkiem, złotą nitką i figurami metalowymi.

Kapelusz z koronki.

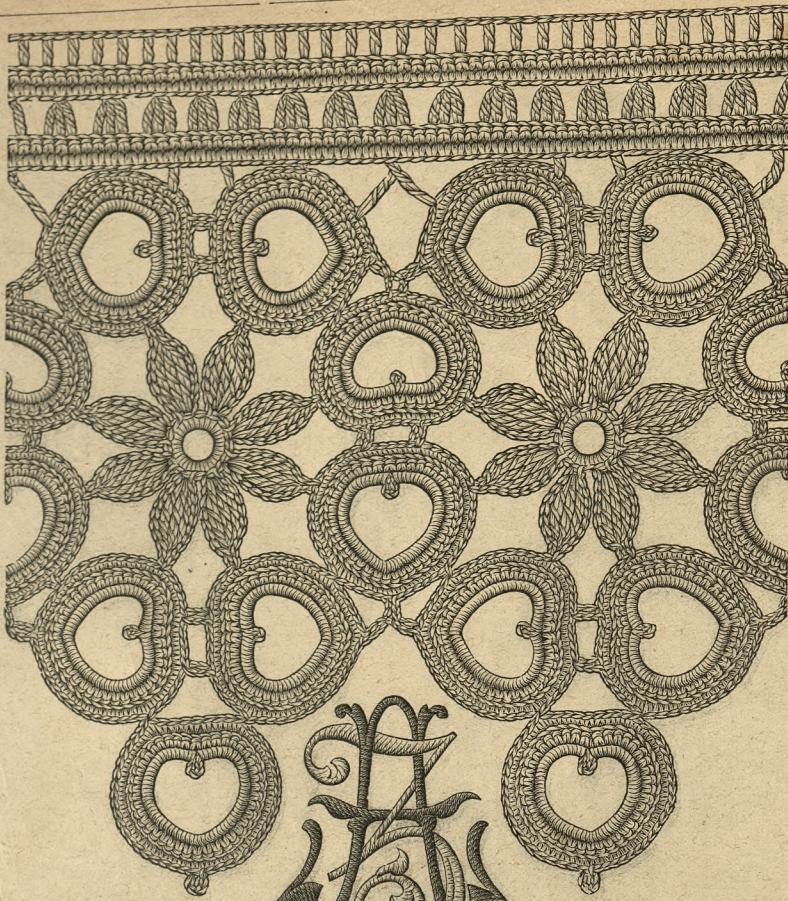
Rycina Nr 16.

Kapelusz w rodzaju toczka. Użyć dwie szerokie części tiulu koronkowego w rzucik z zębami wzdłuż jednej strony jak wskazuje rycina, zmarszczyć takowe ściśle na drucik 3 razy, pozostawiając w środku nagłówek z tiulu w zęby, zeszyć obydwie części w sposób, żeby nagłówek wypadł w samym środku. Brzeg otoczony zębami, z czarnych paciurek i małych dzetowych płaskich figur. Główka w ten sposób wykonana otacza się na podkładzie z petynетки obszytej drucikiem czarnym, gęsto fałdowanym tiulem. Część przednia ozdobiona rozetą z krepy koloru rezedowego i pękiem niezapominajek oraz kokardą z czarnej repsowej wstążki 8 cent. szer., także same wstążki do wiązania.

Kapelusz z krepy i szlaku haftowanego.

Rycina Nr 17.

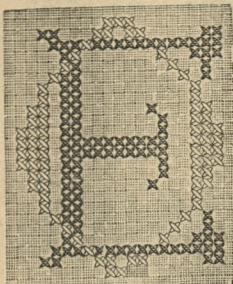
Kapelusz w rodzaju kapotki, na odpowiedniej formie z petynетки wykonanej z krepy podwójnie złożonej koloru brzo-



Nr 20. Koronka do serwetki (do ryc. Nr 25).



Nr 23. Znak haftowany.



Nr 21. Znak haftowany. Robota krzyżowa.

zowego, z główki z złotego sznureczka i ze szlaku przezroczystego haftowanego złotem. Część przednia środkowa wypełniona kokardą z żółtej atlasowej wstążki. Diadem z białych rumianków i zielonych gałązek, oraz atlasowe żółte wstążki do wiązania wykończają całość.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z pulpetami.
2. Sztuka mięsa „à la Radecki.”
3. Kotlety cielęce z groszkiem.
4. Kwiczoły z kwaśnymi śliwkami.
5. Legumina z marengów i konfitur.

KORRESPONDENCJE.

Odp. p. Zofii D.

Palto wiosenne grube z kapeluszem kosztować może od 60 do 70 rubli. Fasony mnóstwo ciągle podajemy.

Odp. p. numer z Kola.

Fasony spódnice podane zostały w ostatnim kwartale roku zeszłego — krają się węższe nieco jak dawniej, zresztą także same — korałe mniej są noszone.

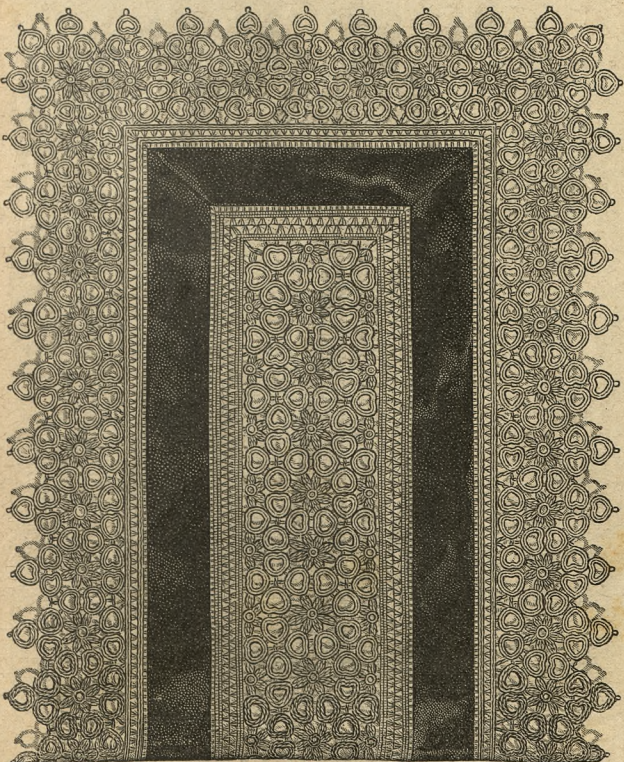
Opisanie rycin: Nr 13 i 14, 20, 25 i 26 w przyszłym numerze.

UWAGA.

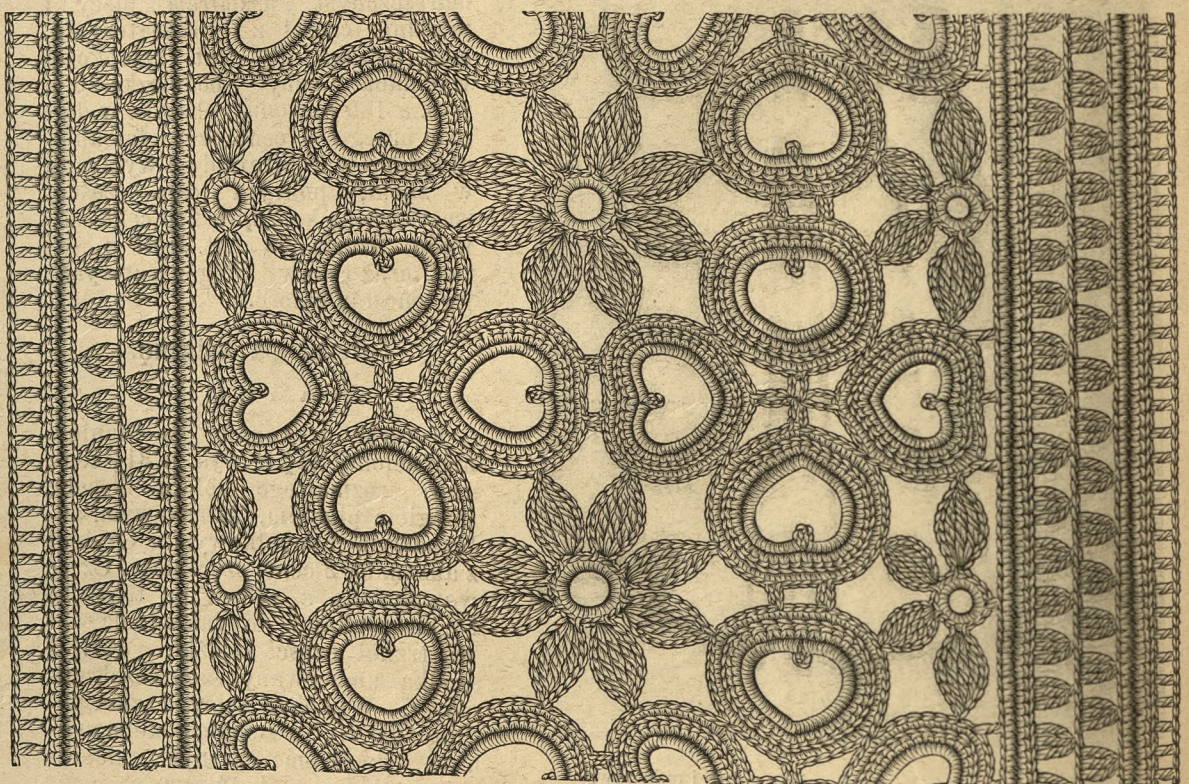
Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze *Bluszczu* służy też do Nr 11.



Nr 24. Haft do stanika ryc. Nr 3. (Wielkość naturalna).



Nr 25. Serwetka podłużna na stół, robota szydełkowa (do ryc. Nr 20 i 26).



Nr 26. Wstawka do serwetki Nr 25. Robota szydełkowa (wielkość naturalna).